

## Kim jestem?

Wielokrotnie stawiano mi takie pytanie na Białorusi i w Polsce.

Otóż – jestem Polakiem, obywatelem Białorusi, urodzonym w polskiej, katolickiej rodzinie we wsi Łosośna koło Grodna, 3 lipca 1951 roku. Ojciec mój, Feliks Gawin, syn Feliksa, urodzony w 1928 roku w Grodnie, przez całe życie, bo aż do emerytury w 1988 roku pracował jako elektryk w Grodzieńskich Zakładach Tytoniowych, dawniej Szereszewskiego. Zmarł na raka płuc po dwu latach spędzonych na emeryturze. Matka moja, Leonarda z Dąbrowskich, urodzona w 1932 roku w Łosośni, do 1987 roku pracowała razem z ojcem w hali produkcyjnej.

Dziadek, Feliks Gawin, syn Tomasza, urodzony w 1902 roku we wsi Parzemiechy koło Częstochowy, w okresie międzywojennym przyjechał do pracy jako ogrodnik w należącym do hrabiego O'Briana de Lacy majątku Augustówek koło Grodna. Właśnie tam spotkał babcię Emilię, córkę Stanisława z Cimahowiczów, urodzoną w 1898 roku w jednej ze wsi parafii Hoża, kilkanaście kilometrów od Grodna.

Rodzice dziadka byli niezadowoleni, że ich syn ożenił się z zabużanką i być może dlatego właśnie tylko raz odwiedzili ich przed wojną i nigdy po wojnie. Dziadek zmarł w 1971 w Grodnie. Spotkałem w swoim życiu wiele osób wdzięcznych dziadkowi za uratowanie ich rodziny przed przymusowymi pracami w Niemczech. Niestety, nigdy mi o tym nie opowiadał, nie znam więc żadnego szczegółu tej jego działalności.

Dziadek mój ze strony mamy, Władysław Dąbrowski, syn Jana, urodzony we wsi Łosośna koło Grodna w 1898 roku, ożenił się z moją babcią, Marią z Raków, urodzoną w 1910 roku w Glinianach koło Skidla w prawosławnej białoruskiej rodzinie. Dziadek, póki pozwalało mu zdrowie, wiele lat pracował w młynach nad rzeką Łosośną będących własnością Jechołkiewicza i Okurego. Moja mama przez trzy lata była nieślubnym dzieckiem, ponieważ pradziadkowie nie chcieli się zgodzić na ślub syna z prawosławną. Nie wiadomo, jak długo trwałaby ta historia, gdyby nie ingerencja księdza proboszcza, który zmusił rodziców dziadka, by ustąpili. Babcia przeszła na katolicyzm i dziadkowie nareszcie wzięli ślub. Kiedy babcię pytano o tę historię, zawsze mówiła, że przeszła na polską wiarę i jest Polką. Dwie jej siostry i dwóch braci, mimo że nie mieli dobrego wykształcenia, posiadali wrodzoną inteligencję i byli wychowani w dwóch kulturach, białoruskiej i polskiej, przejawiali dużą tolerancję do wszystkiego co polskie. W odróżnieniu od innych Białorusinów, wcześniej poznali prawdę o rajach sowieckim. Na długo przed drugą wojną światową znali prawdziwe losy mieszkańców ich wsi, którzy w poszukiwaniu lepszego życia uciekli do Związku Sowieckiego, lecz zostali tam rozstrzelani jako polscy szpiecy. Starszy brat babci podczas kampanii wrześniowej do końca spełnił swój żołnierski

ski obowiązek, walcząc o Polskę tak długo, póki nie został zwolniony z przysięgi i nie dostał rozkazu, by wracać do domu. Podczas powrotu o mało nie zginął z rąk białoruskiej bojówki komunistycznej. Tylko szczęśliwy splot okoliczności pozwolił mu ujść z życiem.

Dziadek zmarł w 1963 roku, a babcia w 1993 roku w Łosośnie.

Kiedy byłem dzieckiem, dość często byłem wysyłany na wieś do naszych krewnych Białorusinów. Oni nauczyli mnie miłości do kultury białoruskiej i języka, do naszej wspólnej ojczyzny Białorusi. Babcia zadbała też o moje wychoowanie religijne, dzięki niej odbyłem kurs tajnego nauczania religii i w wieku 11 lat przystąpiłem do pierwszej komunii świętej w kościele franciszkańskim w Grodnie, którą otrzymałem z rąk księdza Arkadiusza Waltosia.

## **Repatriacja do Polski**

W 1958 roku rodzina nasza w pełnym składzie miała wyjechać na stałe do Polski. W mojej dziecięcej pamięci mocno utkwiał obraz tego ostatniego wieczoru przed wyjazdem, gdy wszyscy nasi krewni z Grodna zgromadzili się wieczorem w pustym, słabo oświetlonym pokoju naszego domu, aby się pożegnać. Płakała mama, moja jedna i druga babcia, płakał młodszy brat i siostra. Rodzice odczuwali ogromny strach przed podróżą w nieznaną z trojgiem małych dzieci. Jedni zachęcali do wyjazdu, inni wprost przeciwnie. Całą noc rodzice zastanawiali się, co robić. Następnego dnia wczesnym przedpołudniem mama moja uległa namowom rodziców ojca, by zostać i nasza repatriacja do Polski na tym się skończyła.

## **Radio „Wolna Europa”**

Mój ojciec, moi dziadkowie, nasi sąsiedzi i znajomi, prawie wszyscy w naszej wsi Łosośna, w latach pięćdziesiątych, niczym głosu zapowiadającego zbawienie, słuchali radia „Wolna Europa”. Oczekiwano, iż właśnie to radio poda dzień, kiedy wkroczą Amerykanie, a my będziemy przyłączeni do Polski. Nie wiem, dlaczego i kto te wiadomości rozpowszechniał, ale wielokrotnie termin wkroczenia Amerykanów w wielkiej tajemnicy był przekazywany – z ucha do ucha. Wtedy moja babcia Dąbrowska brała nas, wszystkie wnuki i ustawiała w długich kolejkach, tego po naftę, tego po zapałki, a tamtego po cukier i sól. Pamiętam także poufne rozmowy ludzi dorosłych i wielkie nadzieje na wyzwolenie z narzuconego siłą obcego im ustroju.

Ludzie z naszych stron zostali dotkliwie doświadczeni przez historię. Prawie wszystkie koleżanki mojej babci mocno ucierpiały. Mąż jednej zginął w kampanii wrześniowej, drugiej w armii Andersa, trzeciej w armii Wojska Polskiego pod Lenino, kolejnej – w AK, ktoś za przynależność do AK został

po wojnie wysłany, jak mówili, na białe niedźwiedzie i stamtąd już nie wrócił. Jedna z koleżanek babci za przynależność do AK odsiedziała wyrok i szczęśliwie wróciła. Takie były złamane losy i życie sąsiadów z naszej wsi, a przecież takich wsi, miast i miasteczek na dawnych kresach II RP były dziesiątki tysięcy. Nikt z tych ludzi nigdy nie uznał władzy sowieckiej w nowych pojałtańskich granicach. Życie ich wszystkich upływało w oczekiwaniu na powrót Polski. Nie mogli wiedzieć, zbyt biedni, niewykształceni, że ustrój polityczny zarówno w Polsce, jak i w Związku Sowieckim był z tego samego pnia i gwałtowna rusyfikacja na przemian z sowietyzacją nas, Polaków na Białorusi, odbywała się za zgodą ówczesnej Polski, a ściślej mówiąc, rządzących tam komunistów i że Jałta ten świat już dawno podzieliła na strefy wpływów.

### **Rosyjskojęzyczna szkoła sowiecka**

Szkoła wchłonęła nas, młodziutkich Polaków, do pierwszej klasy w 1958 roku. Przywitano nas i zaczęto uczyć w obcym języku.

W rzeczy samej władza sowiecka nie mogła pozwolić sobie na funkcjonowanie szkół polskich, lub nawet nauczanie języka polskiego w pasie przygranicznym, którego mieszkańcy prawie w stu procentach byli Polakami. To tak, jakby samemu dać powód do zakwestionowania wcześniej ustalonej powojennej granicy państwa. Bo jak można byłoby wytłumaczyć fakt, że po obu stronach granicy funkcjonują polskie szkoły, mieszka ten sam naród, wyznający tę samą wiarę, rozdzielony za pomocą drutu kolczastego pasem granicznym, należący jednak do dwóch innych państw? Takie podejście na pewno było główną przyczyną nie tylko braku polskich szkół, ale i wymuszenia na polskiej inteligencji nauczycielskiej repatriacji do Polski, wyjazdu w poszukiwaniu pracy na Litwę, wywózki niepokornych do północnych i wschodnich terenów ZSRR.

Pochodziliśmy z rodzin, w których na co dzień rozmawiano po polsku. Nikt z nas nie znał języka rosyjskiego. Nauczyć go miała specjalnie przysłana nauczycielka z Rosyjskiej Socjalistycznej Federacyjnej Republiki Radzieckiej. W prostej linii do granicy z Polską było tylko 10 kilometrów. Dookoła były wyłącznie polskie wsie, a mimo to, w odróżnieniu od Polaków na Litwie, byliśmy za zgodą Rządu PRL spisani na straty i skazani na wynarodowienie. Szkoła, w rozumieniu władz sowieckich, miała stać się kuźnią „przekuwającą” nas, Polaków, w ludzi zrusyfikowanych, zsovietyzowanych, pozbawionych znajomości języka ojczystego, kultury i historii polskiej, oddanych władzy sowieckiej, gotowych walczyć o jej ideały, a zarazem gardzących wszystkim co polskie, lekceważących swoich rodziców i dziadków, którzy pielęgnowali, wbrew propagandzie i naciskom sowieckim, swój język ojczysty i kulturę. Sowietyzacja dzieci była drobiazgowo przemyślana przez władze. Zgodnie z planem wszystkie dzieci miały przymusowo przejść przez działalność w organizacjach pionier-

skich i komsomolskich. Mimo że wielu rodziców sprzeciwiało się temu i nie wyrażało na to zgody, to i tak szkoła nie brała tego pod uwagę, a dzieci przymusowo zapisywano do organizacji. W ten sposób zmuszane były przez szkołę do życia w kłamstwie, ponieważ fakt przynależności do organizacji musiały ukrywać przed rodzicami, a przed szkołą – fakt uczęszczania do kościoła.

Trudno było nam Polakom, ale nie łatwiej było i naszym braciom Białorusinom, szczególnie tym, którzy przyjechali z Polski na Białoruś, także i tym, co z dziada pradziada mieszkali obok nas. W okresie międzywojennym sanacyjny rząd polski przez nieprzemyślaną politykę w stosunku do mniejszości narodowych pozbawił ich możliwości uczenia się w szkole białoruskiej, ale teraz robiła to samo w stosunku do nich ich ukochana władza radziecka w ich ukochanej Białoruskiej Socjalistycznej Republice Radzieckiej. Poza tym, brak polskich szkół w tamtym czasie był odwetem, tak przynajmniej twierdzili Białorusini, za brak białoruskich szkół w okresie międzywojennym.

### **Brak punktów za pochodzenie**

Rok 1968 był bogaty nie tylko w wydarzenia polityczne w Polsce i na świecie, ale także i dla nas na Białorusi był znaczący. Akurat tego roku odwiedził nas kuzyn, Jarek Dąbrowski. Przyjechał z rodzicami z Olsztyna na odpoczynek do Łosośny po nieudanym starciu na studia, spowodowanym zbyt małą liczbą punktów. Prawdziwą przyczyną niepowodzenia było jego inteligenckie pochodzenie. Ja byłem w podobnej sytuacji, miałem wprawdzie „dobre pochodzenie”, natomiast zbyt słabą wiedzę wyniosłem z mojej wiejskiej szkoły w Łosośnie, przez co nie dostałem się na studia do szkoły oficerskiej, do której wysłano mnie dzięki protekcji ojczyma mojej szkolnej koleżanki Hani Wojciechowicz. Ostatni nasz wieczór przed wyjazdem Jarka do Polski spędziliśmy nad brzegiem rzeki Łosośny przy dawnym młynie Okurego, gdzie jeszcze do niedawna pracował nasz dziadek. Jarek już wtedy był młodym dysydem. Jego stosunek do wystąpień studenckich w marcu 1968 roku i do kwestii żydowskiej w Polsce był diametralnie inny niż stosunek polskich władz, inny też od ukształtowanego przez polskie media poglądów mojego otoczenia, zachwyconego polityką władz polskich, tym, że robią nareszcie z Żydami porządek. Jarek opowiadał, że ze swoimi kolegami robili różne akcje prowokacyjne wobec okupacyjnych wojsk radzieckich podążających przez Polskę do Czechosłowacji. Był wtedy drugą znaną mi osobą, która odmiennie oceniała „internacjonalizm” radziecki. Pierwszą osobą, która myślała podobnie, był rezerwista Bohdan Wojtulewicz, mieszkaniec naszej wsi.

Następnego dnia pożegnałem mojego kuzyna. Od naszego ostatniego spotkania minęło już kilkadziesiąt lat. Jarek aktywnie działał w „Solidarności”, był

represjonowany i prześladowany. Później, by móc z czegoś żyć, opuścił Polskę i wyjechał na Zachód. Mieszka obecnie w Toronto w Kanadzie.

## **W dorosłe życie**

Ponieważ nie dostałem się na studia, musiałem podjąć pracę. Ojciec chciał, bym zatrudnił się jako uczeń elektryka w zakładach tytoniowych, by jednocześnie mieć mnie na oku. Koledzy ze szkoły namówili mnie jednak do zatrudnienia się razem z nimi w grodzieńskich zakładach obuwia, gdzie sporo osób z naszej wsi już pracowało. Tak we wrześniu 1968 roku rozpoczęła się moja krótka kariera robotnika.

Pracować trzeba było na dwie zmiany. Była to ciężka praca dla młodego chłopaka, wstawać trzeba było o w pół do piątej rano na pierwszą zmianę. Około pierwszej w nocy przychodziło się z drugiej, a wszystko to za psi grosz. Zrozumiałem, że jeżeli nie zabiorę się do nauki, to nic dobrego mnie nie czeka. Wobec tego zapisałem się na kursy przygotowawcze z matematyki i fizyki, aby uzupełnić braki w mojej wiedzy. Wieczorami, gdy moi koledzy szli na zabawę, ja siadałem do książek, to samo po zakończeniu drugiej zmiany.

Po prawie rocznym trybie takiego życia, w lipcu 1969 roku zdałem egzaminy wstępne i dostałem się – za drugim podejściem – do Wojskowej Szkoły Technicznej w Bagrationowsku, która dwa lata później została przekształcona w Wyższą Szkołę Oficerską Wojsk Łączności, a w drugiej połowie lat siedemdziesiątych przeniesiona została ostatecznie do Orła. Najpierw przyjęto nas na studia, a dopiero potem ogłoszono, że będziemy studiowali w szkole oficerskiej, która należy do Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego (KGB). Musieliśmy podpisać oświadczenie, że nie będziemy zdradzać tajemnic państwowych i wojskowych, które poznamy podczas nauki.

Byliśmy zobowiązani nigdzie nie rozgłaszać faktu, że szkoła oficerska należy do resortu KGB. W korespondencji listowej był adres: jednostka wojskowa 93872, m. Bagrationowsk. Byłem dumny, że dostałem się na studia, ponieważ jako pierwszy w rodzinie, mogłem „wyjść na ludzi”.

## **Nie wiem, kim byłbym**

Zastanawiałem się często, kim dziś byłbym, gdybym w roku 1969, w wieku 18 lat, nie wyjechał na studia. Opuszczałem wtedy swoją rodzinną wieś, nie zdając sobie sprawy z tego, że już nigdzie nie będę się czuł tak dobrze i bezpiecznie jak tutaj i że kiedyś ta wieś przygarnie mnie z powrotem.

Łosośna to ładna, dawna polska wieś, położona nad lewym brzegiem rzeki o tej samej nazwie, przy samym ujściu do Niemna. Po wojnie w ramach repatriacji wielu mieszkańców wyjechało do Polski. Zawsze miałem moim rodzicom za

złe, że w roku 1958, mimo iż cała rodzina była gotowa do wyjazdu, w ostatniej chwili zrezygnowali i zostali tu na zawsze. Dziadkowie też zostali, mimo tego, że dziadek ze strony ojca pochodził spod Częstochowy i miał w Polsce całą rodzinę. Do domów niektórych repatriantów wprowadziły się rodziny białoruskie powracające właśnie z Polski. Miejscowa ludność nazywała ich Białorusinami, mimo że mówiliśmy w tym samym, polskim języku. Byli też inni Białorusini i Rosjanie – ze Wschodu. Przyjechali do nas, aby utrwaląc władzę sowiecką. Dzieci z tych rodzin szybko „spolonizowaliśmy”, ale ich rodzice pozostali w swoim świecie i nigdy żadne polskie słowo nie przeszło im przez usta.

Pamiętam opowieści starszych mieszkańców wsi. Nigdy nie mówili, w którym to było roku, tylko czy to było „za cara”, czy „za polskich czasów”, czy też „za pierwszych” lub „drugich Sowietów” albo „za Niemców”. Gdy pytano ich, kiedy było lepiej, zawsze odpowiadali tak samo – „za pierwszych Sowietów, bo nie byli długo, przyszli i poszli”.

Starsze pokolenie mieszkańców wsi, które dorastało i zaczynało samodzielnie żyć w okresie II Rzeczypospolitej, nigdy nie zdradziło języka ojczystego. Trwali zawsze w przekonaniu, że Polska do nich wróci. Byli wielkimi polskimi patriotami, lecz w większości nie potrafili wychować swoich dzieci w kulturze i języku polskim. System sowiecko-bolszewicki, z jego okrutnymi metodami rządzenia, zniewolił ich. Olbrzymią rolę w wynarodowieniu Polaków, w zniekształceniu ich umysłów, odizolowaniu ich od wszystkiego co polskie, odegrała rosyjskojęzyczna szkoła sowiecka. Potrafiła czasami ustawić dzieci i rodziców po przeciwnych stronach bariery w rozumieniu historii Polski, stosunku do Kościoła, do polskiej kultury.

Szkoła, do której uczęszczały dzieci wyłącznie z rodzin polskich, kształciła młodzież w tradycjach kultury sowieckiej, wrogiej wobec Polaków i polskości. Rodzicom naszym zwracano uwagę, aby w domu nie mówili po polsku, ponieważ przeszkadza to w przyswajaniu języka rosyjskiego, więc nie dostaniemy się na studia i nie „wyjdziemy na ludzi”. Któż z rodziców nie życzył lepszego losu swoim dzieciom? I tak na początku lat sześćdziesiątych zaczął się proces rusyfikacji rodziców przez ich własne dzieci uczące się w szkołach rosyjskich. Kiedy opuszczałem swoją wieś, większość jej mieszkańców mówiła między sobą jednak po polsku. Dzisiaj, niestety, to już historia.

Moja stara wieś, w której urodziłem się i dorastałem, przez okres panowania Sowietów straciła swój urok. Zniszczono trzy młyny nad Łosośną, zburzono kilka mostów, zanieczyszczono rzekę. Dziesiątki osób za przynależność do AK represjonowano, wielu straciło zdrowie i życie w obozach stalinowskich. Dziś wielu nie potrafi posługiwać się językiem swoich ojców i dziadów. Tragedia wsi polega także na tym, że wprawdzie dostała w prezencie od władz oczyszczalnię ścieków, za to do dzisiaj nie ma na wsi nowego budynku poczty, a ten, w którym

poczta się mieści, został niegdyś odebrany prawowitym właścicielom, podobnie jak inne nieruchomości teraz przynoszące zyski władzom.

Jestem dumny z tego, że podczas wojny w wielu domach polskich mojej wsi ukrywano Żydów przed zagładą hitlerowską.

## Szkoła oficerska

W 1969 roku z trudem, za drugim podejściem, dostałem się do szkoły oficerskiej. Kiedy zawiadomiłem o tym rodziców, mama natychmiast wysłała z domu paczkę. Były w niej trzy książki: *Wiersze i Pan Tadeusz* Mickiewicza oraz *Krzyżacy* Sienkiewicza. Nie byłem z tego zbyt zadowolony – wolałbym paczkę z żywnością. Później jednak doceniłem wartość tego prezentu, a książki wędrowały ze mną na Zabajkale, daleki Wschód, nad Ocean Spokojny, żeby wreszcie wrócić do tego miejsca, skąd były kiedyś wysłane.

Moja Szkoła znajdowała się w mieście Bagrationowsk (dawne Prusy Wschodnie, miejscowość Preussich Eylau). Dowódca grupy, lejtnant, kiedy dowiedział się, że jestem Polakiem, zapytał ze zdziwieniem, jak się tu dostałem. Fakt, że w ZSRR mieszkają Polacy, był dla niego wielkim odkryciem, sądził, że tak jak z dawnych terenów niemieckich, w tym i z Bagrationowska, wypędzono Niemców, tak samo Polaków nie powinno być w Związku Radzieckim.

Nauka w szkole szła mi łatwo, stosunek kolegów Rosjan i Ukraińców też był dobry. Nieraz występowałem w roli tłumacza, kiedy słuchaliśmy radia polskiego lub oglądali, czego nie wolno nam było, polskie programy telewizyjne. Polskie przeboje końca lat 60. i początków 70. często były wykonywane przez naszą orkiestrę. Pamiętam, jak ogłoszono stan gotowości bojowej, kiedy doszło do zamieszek w Gdańsku, jak Władysława Gomułkę odznaczono orderem Lenina i wysłano na emeryturę, jak rozpoczęła się dekada Gierkowska. Byłem blisko Polski, miałem tam krewnych, chciałem tam pojechać, lecz musiałem siedzieć cicho, żeby ukończyć szkołę. Pewnego razu wspólnie z innymi kolegami byliśmy o krok od wyrzucenia ze szkoły. Spacerowaliśmy blisko granicy i rozpoczęliśmy przez druty kolczaste rozmowę z rówieśnikami z Polski; ja byłem tłumaczem. Kiedy wróciliśmy do naszego pokoju i opowiedzieli o wszystkim starszemu koledze, który już odbywał służbę w wojskach pogranicza, uprzedził, co nam grozi, jeśli dowie się o tym kierownictwo uczelni. Na szczęście nikt nie doniósł. Gorzej było z dwoma Ukraińcami ze Lwowa, którzy próbowali udowodnić, że Stiepan Bandera to wielki bohater narodu ukraińskiego. Ktoś doniósł na chłopaków. Skierowano ich do szpitala psychiatrycznego i zwolniono ze szkoły.

Na granicy dość często organizowane były przez władze obwodu kalininogradzkiego i województwa olsztyńskiego spotkania przyjaźni. Grupa słucha-

czy z naszej szkoły też brała w nich udział. Bardzo chciałem tam być, lecz nigdy mnie nie wysłano.

Na jednym z wykładów nasz wykładowca, podpułkownik Omielczenko, pochwalił się, że do 1956 roku pracował w szkole oficerskiej w Polsce. Kiedy na przerwie zagadnąłem go po polsku, zaskoczony odparł, że było to dawno temu i polskiego już zapomniał.

Opowiadano, że za Niemców w koszarach naszej szkoły mieściła się szkoła SS. Niemcy opuścili Bagrationowsk bez walki. Wojna nie tknęła miasta. Wielu z nas, żyjąc w tym mieście, po raz pierwszy zetknęło się z kulturą zachodnią; mam na myśli swoistą piękną architekturę i dobre drogi. Byłem tym zauroczony. To wtedy postanowiłem, że pokonam wszystkie przeciwności i kiedyś wybuduję swój dom kryty czerwoną dachówką

W czasie studiów poznałem moją przyszłą żonę Natalię, do której często zwracałem się – Natasza. Pobraliśmy się 29 lipca 1972 roku. Minęło prawie trzydzieści lat, zanim mogłem urzeczywistnić swoje marzenia i razem z rodziną zamieszkać w wymarzonym domu z czerwoną dachówką, w mojej rodzinnej wsi.

## Nocne dyskusje

Wyrzucenie ze studiów dwóch naszych kolegów nie zmusiło jednak nas, młodych kursantów, do zamknięcia się w sobie. Każdy kolejny dzień był wypełniony zajęciami po brzegi i jedyną możliwością swobodnej wymiany zdań były nocne rozmowy w pokoju. Mimo tego, że wśród nas były dzieci wojskowych, wysoko postawionych w hierarchii kontrwywiadu wojskowego, ministerstwa spraw wewnętrznych i KGB, nikt nie bał się donosów. Polskiego radia słuchaliśmy co sobotę i niedzielę trzymając odbiornik w schowku w pokoju, a nie w miejscu wyznaczonym przez dowódcę kompanii. Jeśli któregoś wieczoru brakowało nam tematu do dyskusji, inicjatywę brał w swoje ręce Witalij Dubinin i godzinami opowiadał o kozactwie i kozakach z okolic Piatigorska. Darzył wielką sympatią tych, którzy wiernie służyli carowi. Na podchwytliwe pytania dotyczące czerwonego kozactwa odpowiadał, że nic o nim nie słyszał. O każdym, z kim spędziłem lata studiów, można by było dużo napisać, ponieważ każdy miał swoją pasję i był bardzo ciekawym człowiekiem. To, że akurat przypomniałem sobie Witalija Dubinina, związane jest z pewną ciekawą historią.

Otóż w 1995 roku w Lublinie poznałem Eugeniusza Supersona, prezesa polskiej organizacji w Piatigorsku. Opowiedział mi, jakie mają trudności z tym, aby zainteresować parafię katolicką budową kościoła w tym mieście, główną zaś siłą stawiającą opór jest miejscowe kozactwo na czele z atamanem Dubininem, z którym w żaden sposób nie udaje się spotkać. Wtedy przypomniałem sobie, że niedługo przed rozpadem ZSRR w telewizji wyświetlano film dokumentalny o losie pułkownika Witalija Dubinina, atamana kozaków w Piatigorsku. Został

ciężko ranny w Afganistanie, amputowano mu obie nogi. Byłem mocno wstrząśnięty, gdy zobaczyłem go na ekranie w wózku inwalidzkim.

Obiecałem Eugeniuszowi Supersonowi, że skontaktuję się z Dubininem i niewykluczone, że przyjadę sam, aby pomóc rodakom w ich świętej sprawie. Przekazałem mu list do atamana z prośbą o poparcie katolików, którzy chcą mieć świątynię w swoim rodzinnym mieście. Wkrótce dostałem list od preza Supersona. W kopercie był także mój list skierowany do Dubinina. Kiedy Eugeniusz Superson wrócił do Piatigorska, ataman wojska kozackiego już nie żył.

## **Awans na lejtnanta**

Lata nauki w szkole zleciały bardzo szybko. 23 lipca 1972 roku, w wieku 21 lat zostałem lejtnantem. Chciałem być oficerem łączności rządowej, bo było to stanowisko prestiżowe i często otwierało drzwi do wyjazdu za granicę, w tym też do Polski. Nie miałem układow, więc skierowano mnie do pełnienia służby w wojskach pogranicza. Na granicę zachodnią przydzielono trzy miejsca, oczywiście dostali je ci, których ojcowie byli pogranicznikami. Ja natomiast wyjechałem do miasteczka Dauria na Zabajkału, na granicy z Chinami.

Piętnaście lat później, kiedy w 1987 roku wróciłem jako podpułkownik do Grodzieńskiego Oddziału Straży Granicznej, moim podwładnym był kapitan Siergiej Guriewicz, który w 1972 roku wygrał ze mną, dzięki rozmaitym układow, w rywalizacji o miejsce na zachodniej granicy. Nigdy nie miałem mu jednak za złe, że wszedł mi w drogę. Był Żydem, zatem i jemu nie było łatwo wytrwać w wojsku, z którego odszedł dopiero w 1999 roku w stopniu majora.

## **Milcz, bo wywiozą**

Po ukończeniu szkoły oficerskiej przyjechałem na urlop do Grodna. W kolejną niedzielę byłem zaproszony do mojej ciotki na obiad. Podczas obiadu zapytałem obecnego tam także mojego dawnego nauczyciela fizyki, Romana Waszkiewicza, który kiedyś uczęszczał do ostatniej polskiej szkoły w Grodnie przed zamknięciem jej w 1948 roku przez władze – dlaczego u nas, tak jak np. w Stanach Zjednoczonych, nie ma organizacji polonijnych. Ledwo zdążyłem skończyć moje pytanie, jak ciotka gwałtownie rzekła – milcz bo wywiozą na Sybir. Wtedy nie, ale dzisiaj, z perspektywy lat, mam dla niej pełne zrozumienie.

## **Dauria**

Na początku września 1972 roku przyjechałem na miejsce pełnienia służby. Całe moje mienie stanowiły dwie walizki z umundurowaniem oficerskim. Natasza została w Kursku, aby skończyć studia w Instytucie Pedagogicznym.

Pierwsze moje wrażenie, kiedy wylądowałem w Czycie i przyjechałem na dworzec kolejowy, było takie, że trafiłem do miasta przyfrontowego. Wszędzie tłumy wojskowych, zwłaszcza młodych oficerów tuż po ukończeniu szkoły. Po zbrojnych konfliktach końca lat sześćdziesiątych wzmacniano granicę z Chinami.

W Daurii dostałem stanowisko zastępcy dowódcy kompanii łączności do spraw technicznych oraz jednopokojowe mieszkanie w baraku zbudowanym z desek. Pierwsze dni życia w położonym o kilkanaście kilometrów od granicy, otoczonym stepem miasteczku były przygnębiające. Wojska było więcej niż ludności cywilnej. Tubylcy, przeważnie skośnoocy, powszechnie zwani guranami, nie darzyli wojska sympatią. Sklepy świeciły pustkami. Tylko alkoholu było pod dostatkiem. Gdyby nie obfity przydział żywnościowy, który oficerowie i podoficerowie dostawali raz na miesiąc, można byłoby umrzeć z głodu. Po godzinie dwudziestej wyłączano światło. Telewizja nie odbierała. Wśród kadry oficerskiej rozpowszechnione było pijaństwo i gra w karty. Po kilku wyjazdach na granicę i poznaniu atmosfery panującej w wojsku, uświadomiłem sobie, że nie da się stąd wydostać. Poznałem oficerów, którzy specjalnie latami pili, zaniedbując obowiązki służbowe, aby ich zwolniono, lecz bez skutku. Bardzo dużo osób zaczynało tu służbę i tu ją kończyło.

Pewnego dnia byłem mile zaskoczony, kiedy podszedł do mnie kapitan z naszej jednostki. Wyglądał na tyle lat, co mój ojciec. Miał polskie imię Zenon. Pochodził z Białorusi Zachodniej. To właśnie o nim mówiono, że też jest Polakiem. Doradzał mi, jak przetrwać tutaj i co robić, aby wyciągnąć swoją rodzinę z tej dziury i nie spędzić całego życia na Zabajkalu. Jego rada zapadła mi w sercu, stale o niej pamiętałem, aż do 1978 roku, kiedy to opuściłem Zabajkale na zawsze. Sztuka polegała na tym, aby pokusie picia alkoholu i kartom przeciwstawić morderczą pracę – od świtu do zmierzchu, po to, by dostać awans i wywalczyć prawo wyjazdu na studia w Wojskowej Akademii Łączności. Była to przepustka do lepszego miejsca służby i bardziej godziwego życia. Nigdy więcej nie spotkałem Zenona, wiem tylko, że został w Daurii, kiedy ja opuszczałem Zabajkale.

### **Szczęśliwy 1973 rok**

W tym roku, 25 kwietnia urodził nam się syn, któremu daliśmy na imię Feliks. Było to też imię mojego ojca i dziadka. Latem już cała nasza rodzina była w Daurii.

Regularnie w kiosku z prasą odbierałem zostawioną specjalnie dla mnie „Trybunę Ludu”. Któż by mógł pomyśleć, że w tej dziurze może być polska prasa! Jesienią wybrano mnie jako kandydata na wyjazd do NRD. Musiałem przejść przez szereg formalności. Pewnego dnia zostałem zaproszony do szefa kontrwywiadu naszego oddziału przygranicznego, od którego opinii zależał los każde-

go kandydata do służby za granicą. W rozmowie ze mną powiedział, że nie ma nic przeciwko temu, abym wyjechał, lecz zwrócił uwagę na to, że mam być odporny w rozmowach z kolegami, panować nad sobą i nie poddawać się prowokacjom. Po tym spotkaniu zacząłem przypominać sobie wszystkie kontrowersyjne rozmowy w gronie oficerskim. Rzeczywiście, nieraz byłem prowokowany przez mojego przełożonego, dowódcę kompanii, do rozmów na tematy polskie. Otóż osoba, która nie miała pojęcia o historii i kulturze Polski, próbowała mi udowodnić niższość wszystkiego, co polskie, a wyższość wszystkiego, co sowieckie. Sprzeczałem się z nim wiele razy. Teraz zrozumiałem, co miał na myśli szef kontrwywiadu. Dostałem nauczkę i przyrzekłem sobie, że w przyszłości muszę unikać podobnych dyskusji – dla mojego własnego dobra i dobra całej rodziny.

### **Berlin coraz bliżej**

Wiosną 1974 roku wszystkich kandydatów na wyjazd za granicę zaproszono na posiedzenie Rady Wojskowej Zabajkalskiego Okręgu Pogranicznego, która miała podjąć ostateczną decyzję. W dziale kadr pouczono nas, jak mamy się zachować i reagować na podchwytliwe pytania. Widać było, że oficer, który miał nas przedstawić członkom Rady, bardziej się przejmował tym faktem, niż my sami. Można było go zrozumieć, ponieważ odpowiadał za dobór kandydatów. Członkom Rady przedstawiono po kolei każdego z nas, razem z krótkim życiorysem. Zauważyłem, że tylko w moim przypadku nie podano narodowości. Ten niby drobny fakt zaczął mnie niepokoić, pomyślałem, że nie wróży to niczego dobrego. A jednak generał Oniszczenko pogratulował nam wszystkim zaakceptowania kandydatur i poinformował, jak mamy się zachowywać, aby nie splamić honoru obywatela radzieckiego. Mimo to podejrzewałem, że wszystko jeszcze może się zdarzyć.

Po zakończeniu posiedzenia Rady poproszono mnie raz jeszcze do działu kadr. Ten sam urzędnik, który nas przygotowywał przed Radą, tłumacząc się nieporadnie zaproponował, bym – dla mojego dobra – złożył wniosek o dokonanie zmiany narodowości z polskiej na rosyjską lub białoruską, we wszystkich moich dokumentach. Byłem wstrząśnięty. To tak, jak gdybym miał wyrzec się swoich rodziców. Nawet nie zastanawiałem się nad tą propozycją, odmówiłem natychmiast. Po tej rozmowie odprowadzono mnie grzecznie do drzwi, zapewniając, że ta decyzja nie wpłynie na mój zagraniczny wyjazd.

### **Natasza na Łubiance w Moskwie**

Latem 1974 roku do jednostki wpłynęło rozporządzenie, na podstawie którego Natasza miała się stawić w Głównym Zarządzie Wojsk Pogranicza ZSRR w Moskwie na Łubiance. Przeprowadzono z nią rozmowę pouczając, jak ona oso-

biście i cała nasza rodzina ma zachowywać się w Berlinie. Była to nudna i niezbyt sympatyczna rozmowa. Kazano jej także nie wracać na Zabajkale, tylko czekać, aż dołączę do niej i wyjedziemy wspólnie. Z Moskwy żona z Feliksem pojechała do Orła, aby czekać tam na mnie. Od czasu do czasu dzwoniła do Moskwy, aby się dowiedzieć o termin wyjazdu. Zawsze była ta sama odpowiedź – na razie trzeba czekać.

### **Zamiast na Zachód dalej na Wschód**

Pod koniec lata 1974 roku zatelefonowano do mnie z działu kadr mojego okręgu w Czycie. Przepraszono mnie za kłopot i poinformowano, że niestety, wyjazd do Berlina został odwołany w związku z tym, że osobie, na której miejsce miałem przyjechać, przedłużono tam pobyt. Jako rekompensatę za tę krzywdę zaproponowano mi awans na dowódcę kompanii łączności w miasteczku Nerczynskij Zawod w naszym okręgu pogranicznym. Musiałem wyruszyć na nowe miejsce służby, ponieważ po tym, jak odmówiono nam wyjazdu zagranicznego, nie czułem się zbyt dobrze w mojej kompanii. Kontakty służbowe z dowódcą także zaczęły się pogarszać. W tym wszystkim był jednak jeden plus. Dostałem stanowisko, które rokowało, iż po kilku latach pracy i uzyskaniu dobrych wyników będę mógł ubiegać się o studia w Wojskowej Akademii Łączności w Leningradzie. Dlaczego mi odmówiono wyjazdu do Berlina, dowiedziałem się znacznie później. Za czasów ZSRR na stanowiska za granicą szykowano po kilku kandydatów. Moskwa postawiła na innego oficera, którego zresztą znałem dobrze, bo kończyliśmy razem szkołę oficerską, i to on wyjechał zamiast mnie. Cała różnica między nami polegała na tym, że on był Rosjaninem.

### **Natasza wraca do Daurii**

Wiadomość o tym, że nie pojedziemy do Berlina, Natasza przeżyła bardzo boleśnie. Kiedy dzwoniła do Moskwy, powiedziano jej, że niby zrezygnowałem z tego wyjazdu w zamian za awans służbowy. Nie wiem, dlaczego skłamała. Wkrótce żona przyjechała do Daurii. Zaczęliśmy układać nasz dobytek, który składał się już nie z dwóch, tylko z czterech walizek. Pozytywną stroną służby na Wschodzie było to, że wszystkie rzeczy w mieszkaniu oficera należały do wojska, więc nie było kłopotu podczas przeprowadzek. Wiedzieliśmy, że w nowym miejscu dostaniemy to samo.

Na miejsce pracy, które zajmowałem, przybył już nowy oficer po tej samej co ja szkole. Ukończył uprzywilejowany wydział, który nie miał nic wspólnego z ochroną granicy, miał dostać dobrą posadę, a wylądował w Daurii. Twierdził, że była to kara za to, że ożenił się z Finką, chociaż ona sama nigdy nie była w

Finlandii. Wtedy nie bardzo chciałem w to wierzyć. Wiele lat później, kiedy byłem już szefem łączności oddziału pogranicznego w Grodnie, słyszałem od oficerów i podoficerów, że dowództwo, choć nieoficjalnie, zwracało uwagę chętnym do ożenienia się z Polkami, żeby tego nie robili.

## **Nierczyński Zawod**

Miasteczko to, wtopione pomiędzy niewielkie góry nazwane przez ludność miejscową sopkami, otoczone dookoła tajgą, leżało kilkanaście kilometrów od granicy chińskiej. To tam zostałem skierowany do utworzonego kilka lat wcześniej oddziału, który ochraniał granicę z Chinami, wzdłuż rzeki Amur i Arguń. Najładniejszym budynkiem w miasteczku był dom wybudowany niegdyś przez żonę dekabrysty Wołkońskiego, księżnę Marię, która przyjechała tu w roku 1826, aby wspólnie z mężem spędzić lata katorgi. Za cara w miasteczku i okolicy było wiele kopalni rudy żelaza. Tu po raz pierwszy na Dalekim Wschodzie zetknąłem się z miejscami niewolniczej pracy moich rodaków – Polaków zesłanych za udział w powstaniu listopadowym i styczniowym. Wielu z nich straciło tu życie. Trzeba przyznać, że władze sowieckie udokumentowały ten fakt naszej polskiej historii na tych ziemiach. Na własne oczy widziałem na jednej z byłych kopalni tablicę pamiątkową ku czci zesłańców Polaków. Być może właśnie dlatego polskie nazwiska wcale nie były tu rzadkością.

Już pierwszej nocy obudził mnie mój zastępca do spraw politycznych lejtnant Iwan Miercałow, który poprosił, abym pilnie przyszedł do węzła łączności. Gdy tam wszedłem, zobaczyłem kompletnie pijanych – na służbie – pięciu moich żołnierzy. Pięć pustych butelek wymownie świadczyło przeciwko nim. Poza tym tej samej nocy, którą spędziliśmy w baraku z desek, zaatakowały nas pluskwy. Najgorzej zniósł to półtoraroczny Feliks. Następnego dnia żartowałem, że mogło być znacznie gorzej, przecież mogli nas zaatakować Chińczycy. Wszystko to razem wzięte nie mogło pozytywnie wpłynąć na dobry nastrój mojej żony, niemniej jednak po uporządkowaniu spraw rodzinnych, cały „zanurzyłem się w pracę”. Wiedziałem, czego chcę i co mam robić, żeby wyjechać na studia do Leningradu.

## **Wyrzucanie pieniędzy w błoto**

Lata siedemdziesiąte były latami bardzo napiętych stosunków międzynarodowych pomiędzy ZSRR a Chinami. Wzdłuż granicy chińskiej wystawiano nowe jednostki pograniczne, wprowadzano nowe siły wojskowe, aby w razie wojny stawić opór Chińczykom. Nasza jednostka ochraniała prawie 500-kilometrowy odcinek granicy wzdłuż rzek Arguń i Amur w dzikiej tajdze. Do strażnic pogranicznych nie było dojazdu, nie było też łączności przewodowej. Cały kontakt polegał na łączności krótkofalowej, a dostać się tam można było

latem – śmigłowcem czy kutrem, w zimie – śmigłowcem czy drogą przełożoną po zamarzniętych rzekach. Nasza jednostka miała za zadanie budowę przez tajgę drogi prowadzącej do strażnic, założenie łączności przewodowej i technicznych środków sygnalizacji granic. Póki nie było dróg i dobrej łączności, a nie daj Boże także pogody sprzyjającej lotom śmigłowców, niejedna kobieta musiała rodzić nie w szpitalu, tylko na strażnicy. Do dzisiaj pamiętam, jak śmigłowiec nie mógł „zjechać” ciężko chorego mojego podwładnego – dowódcę plutonu lejtnanta Władzimira Bacharewa, budującego w tajdze łączność przewodową; oficer umarł w okropnych warunkach. Był absolwentem tej samej szkoły wojskowej co i ja, ukończył ją dopiero przed trzema miesiącami.

Czasami po pracy przy kieliszku wódki niejednen ze starszych oficerów narzekał na los i nazywał to całe przedsięwzięcie wyrzucaniem pieniędzy w błoto. Wielu z nich udawało, że państwu sowieckiemu bardziej by się opłacało odrodzenie stosunków dobrosąsiedzkich z Chinami lub podpisanie umowy, na mocy której oba państwa wyprowadzają określoną ilość swoich wojsk na ileś tam kilometrów od granicy. Stosunki były napięte i rzutowało to na nasze życie osobiste i służbę, politykę zaś określaliśmy nie my i nasi dowódcy, tylko starszowie z Biura Politycznego w Moskwie.

### **Dlaczego dotychczas nie jestem członkiem partii?**

Zapytał mnie o to pułkownik Rusakow, szef wydziału politycznego naszej jednostki. Podczas rozmowy zwrócił uwagę, że w wojskach pogranicznych tylko członek KPZR może awansować na stanowisko dowódcy kompanii. Ponieważ wbrew tej zasadzie już dostałem awans, poprosił mnie, abym zwrócił się natychmiast do poprzedniego miejsca służby i poprosił o opinię, w celu wstąpienia do partii. Pod koniec roku 1974 zwróciłem się zatem do moich byłych przełożonych w Daurii – dowódcy kompanii łączności i jego zastępcy do spraw politycznych. Po długim milczeniu dowiedziałem się od szefa wydziału politycznego naszej jednostki, że odmówiono mi wydania opinii. Było mi przykro, że zostałem potraktowany w taki sposób przez poprzednie kierownictwo. Wbrew moim oczekiwaniom stosunek do mnie nie zmienił się na gorsze.

Długo się zastanawiałem, dlaczego dostałem odmowną odpowiedź. Wytłumaczyć to mogę tylko przypominając następującą historię. Był w naszej jednostce major Lejzman, szef służby medycznej, Żyd z pochodzenia. Kiedy miał wstąpić do partii, poprosił o opinię szefa sztabu naszej jednostki i dostał ją. Później został przeniesiony do nowego miejsca służby na granicę turecką i uciekł do Turcji, a następnie wyjechał do Stanów. Po tym fakcie zdrady sprawdzono każdy krok w przeszłości tego oficera. Wtedy wyjaśniło się, że opinię wystawił mu szef sztabu jednostki w Daurii. Za „krótkowzroczność polityczną” szefa sztabu zdjęto ze stanowiska. Być może moi koledzy z poprzedniego miejsca pracy pamiętali o przykrych

doświadczeniach ich szefa i nie chcieli kusić losu. Pomyśleli prawdopodobnie o tym, co może się stać, jeśli mnie, Polakowi, też coś strzeli do głowy. Wystawiając opinię odpowiadałoby za moje postępowanie przez cały okres mojej służby.

## **O krok od spełnienia naszych marzeń**

1975 rok był dla mnie szczególnie udany. Dowodziłem kompanią łączności, która była jednym z najlepszych pododdziałów w jednostce i zdobyła tytuł wzorowej. Do wielu strażnic pogranicznych zostały zbudowane napowietrzne linie łączności, co pozwoliło udoskonalić system dowodzenia.

Wszystko to zostało docenione przez moje kierownictwo w Nierczyńskim Zawodzie, a także w Czycie. Mój raport z prośbą o pozwolenie na podjęcie studiów w Wojskowej Akademii Łączności został zaakceptowany. W ten sposób byłem kandydatem na studia w Leningradzie w roku 1976. Istniał jednak jeden problem. Odziedziczyłem po dziadku ze strony matki daltonizm, a z tym nie można było rozpocząć studiów. To że dostałem się do szkoły oficerskiej – to zupełnie inna historia. Dzięki dobrym ludziom pokonałem tę poważną przeszkodę. Teraz opowiedziałem o wszystkim szefowi służby medycznej naszej jednostki, który nazywał się Paweł Pronin i poprosiłem o pomoc. Był moim dobrym przyjacielem, Udmurtem z pochodzenia, nasze rodziny też się zaprzyjaźniły. Pomógł mi w taki sposób, że dał książkę z tabelami, na podstawie których komisja medyczna sprawdzała oficerów. Nauczyłem się na pamięć wszystkich danych z tabeli i oszukałem komisję. Pod koniec roku wzięłem urlop i zabrałem się do książek, aby latem 1976 roku przystąpić do egzaminów w Leningradzie. Natasza jak zawsze stworzyła odpowiedni klimat w rodzinie, żebym mógł jak najwięcej czasu poświęcić na naukę.

## **Bolesny cios**

Pierwszą połowę 1976 roku poświęciłem, poza pracą, na przygotowania do studiów. Bardzo chciałem wyciągnąć moją rodzinę z Zabajkała, aby mogła żyć w lepszym miejscu i w lepszych warunkach. Akademia była nie tylko przepustką do lepszego życia, stwarzała też możliwości do robienia kariery zawodowej.

W czerwcu 1976 roku w naszej jednostce kontrolę przeprowadziła komisja z Zarządu Głównego Wojsk Pogranicza z Moskwy. Strażnice pograniczne oraz inne pododdziały nie wypadły najlepiej. Tak samo wyglądała sytuacja w kompanii łączności, którą dowodziłem. Trudno było oczekiwać lepszych wyników od jednostki wojskowej, która została utworzona dopiero kilka lat temu i nie mogła stawić czoła tak wysokim wymaganiom. Komisja podsumowała wyniki pracy i wróciła do Moskwy. Nic nie zapowiadało jakichkolwiek kłopotów.

Na początku lipca, dzień przed moim wyjazdem do Leningradu, zaprosiliśmy z żoną przyjaciół na wieczór pożegnalny. Wszyscy byli zadowoleni, a nam już się marzyło, że niebawem kto inny będzie mieszkał w zajmowanym przez nas jednopokojowym mieszkanku w baraku. Nie było to łatwe życie, szczególnie w zimie, kiedy temperatura spadała poniżej 40-50 stopni, a ubikacja była na zewnątrz. Następnego dnia miałem lecieć naszym pogranicznym śmigłowcem do Czyty. Niespodziewanie zadzwonił telefon. Nie miałem żadnego złego przeczucia. Operacyjny dyżurny jednostki poinformował mnie, że decyzją Zarządu Głównego Wojsk Pogranicznych ZSRR odmówiono mi pozwolenia na wyjazd na studia. Byłem kompletnie załamany, Natasza zaczęła ryczeć, trzyletni Feliks nic nie mógł zrozumieć.

Przypłaciłem to w końcu wrzodami żołądka i spędziłem ponad miesiąc w szpitalu w Czycie. Przez cały czas walczyłem ze sobą. Co mam robić, aby nasze życie wróciło do normalności? Przez wiele nocy nie zmrużyłem oczu, rozważając różne warianty wyjścia z tak bolesnej dla nas sytuacji. Nie wymyśliłem nic innego, jak ponownie zabrać się do pracy i udowodnić wszystkim, że zaszło zwykłe nieporozumienie. Problem polegał na tym, aby w ciągu najbliższych dwóch lat wywalczyć sobie prawo do wyjazdu na studia w Wojskowej Akademii Łączności, ponieważ kandydaci nie mogli przekroczyć wieku 28 lat.

Sił dodawała mi moja żona. Ze strony Nataszy, w odróżnieniu od żon wielu oficerów, zawsze spotykałem się z pełnym zrozumieniem dla mojej pracy. Stwarzała mi wszelkie warunki dla normalnej pracy, razem ze mną znosiła trudy mojej służby. Wiedziałem, że nawet w najtrudniejszych sytuacjach mogę na niej polegać. Nasze życie rodzinne podporządkowała jednemu celowi – mojemu sukcesowi. Mając takie oparcie w żonie, nie wątpiłem, że osiągnę postawiony cel.

### **Są na świecie dobrzy ludzie**

Po tym, jak nasza jednostka źle wypadła w czasie kontroli przeprowadzanej przez Zarząd Główny Wojsk Pogranicza ZSRR, doszło do poważnych zmian w składzie dowództwa. Odwołany został dowódca, szef sztabu, szef wydziału politycznego i szef wywiadu. W ich miejsce przyszli nowi oficerowie i teraz trzeba było z nimi pracować i od nich właśnie zależało, jak będzie oceniana moja praca.

Odmowa w sprawie wyjazdu na studia stała się dla mnie ważną lekcją życiową. Wyciągnąłem z tego wnioski i z jeszcze większym uporem zabrałem się do pracy. Wśród oficerów i podoficerów mojej kompanii było sporo dobrych ludzi. Mój ewentualny wyjazd na studia stwarzał szansę awansu służbowego kilku oficerów. W pełni zdawałem sobie sprawę, że pełnię służbę na granicy chińskiej, gdzie wszystkiego, łącznie z wojną, można było się spodziewać, wobec tego całe dalsze szkolenie i pracę mojej kompanii powiązałem z istniejącymi warunkami. Pod koniec 1976 roku Moskwa znowu skierowała do nas komisję, która miała

sprawdzić, czy zostały usunięte niedociągnięcia w pracy. Tym razem moja kompania łączności uzyskała dobrą ocenę.

Niedługo po wyjeździe komisji zostałem zaproszony na rozmowę do naszego dowódcy podpułkownika Anatolija Bobowa, który przed kilkoma miesiącami objął dowództwo nad naszą jednostką. Mówiliśmy o nim między sobą „profesor” za jego zbyt naukowe podejście do ochrony granicy. Był oficerem bardzo wymagającym wobec siebie oraz innych. Podczas rozmowy poinformował mnie, że jeśli nadal będę miał takie wyniki w pracy, mogę liczyć na jego pomoc w sprawie studiów w Leningradzie. Rozmowa nasza nabrała prywatnego charakteru. Okazało się, że żona podpułkownika miała na imię Ewelina i była Polką z Białorusi. Odczuwałem, że być może jest to przyczyna szczególnej sympatii i życzliwości dowódcy wobec mnie. Potwierdziło się to w 1978 roku, kiedy byłem na studiach. Aby awansować na kapitana, musiałem najpierw pomyślnie zaliczyć sesję zimową, a nawet przy najszcześniejszych układach kierownictwo Akademii mogło dokonać niezbędnych formalności dopiero w lutym 1979 roku, na Święto Armii Radzieckiej. Byłem bardzo zdziwiony, kiedy w pierwszej połowie grudnia przyszedł telegram z Zarządu Głównego Wojsk Pogranicza ZSRR w Moskwie, potwierdzający, że zostałem kapitanem. Nie wiem i na pewno nie dowiem się, bo pułkownik Bobow już nie żyje, jak wyglądała cała historia z moim nieoczekiwanym awansem. Prawnie mojego awansu na kapitana nie można było załatwić w mojej starej jednostce, ponieważ od 1 września 1978 roku byłem wykluczony z jej składu osobowego w związku z wyjazdem na studia. Złożyć odpowiednie dokumenty w Moskwie można było nie wcześniej niż 30 września. Więc jak załatwił to dowódca – nie wiem. Trzeba być oficerem, żeby zrozumieć i docenić ten jego gest.

Na początku 1977 roku naszą jednostkę odwiedził pułkownik Piotr Pierełygin, szef łączności Wojsk Pogranicza ZSRR, któremu towarzyszył szef łączności Zabajkalskiego Okręgu Pogranicznego, pułkownik Michaił Żukow. Mimo że nasza jednostka pełniła służbę w trudnych warunkach klimatycznych, w bardzo skomplikowanym pod względem ukształtowania terenu, zorganizowaliśmy już łączność do większości naszych strażnic. Wszystko to zostało zauważone i docenione przez dowództwo. Wracając do Moskwy pułkownik Pierełygin obiecał mi, że w 1978 roku mogę liczyć na wyjazd na studia.

## **Ostatnie przeszkody**

Rok 1977 i pierwsza połowa roku 1978 minęły bez żadnych nadzwyczajnych wydarzeń. W lutym 1978 roku awansowałem na stanowisko oficera łączności sztabu naszej jednostki. Najpierw ciężko było się przyzwyczaić do spokojniejszego trybu życia. Wziąłem urlop, aby 45 dni poświęcić na przygotowanie się do egzaminów. W czerwcu przed wyjazdem na studia musiałem uzyskać

orzeczenie komisji medycznej. Okazało się, że stan mojego zdrowia nie pozwala na podjęcie studiów. Otóż wykryto wrzody żołądka oraz wcześniej ukrywany daltonizm (lekarz badał mnie na podstawie innego wydania książki, niż to, którego się nauczyłem na pamięć). Poinformowałem dowódcę o tych przeszkodach. Obiecał, że wszystko załatwi. Niedługo po tym główny lekarz szpitala pogranicznego w Czycie wezwał mnie na rozmowę. Powiedział, że może mieć kłopoty, jeśli mój daltonizm zostanie wykryty przez komisję medyczną na Akademii. Poradził, abym po powrocie do jednostki postarał się o nową książeczkę zdrowia, która nie zawierałaby wpisu o chorobie wrzodowej. To właśnie uczyniłem – i dalej byłem kandydatem na wyjazd do Leningradu.

### **Na rozmowę do dowódcy**

Na parę dni przed moim wyjazdem na studia wezwał mnie dowódca, pułkownik Anatolij Bobow. Podziękował za służbę i powiedział, że zostałem przedstawiony do odznaczenia medalem „Za wzorową ochronę granic ZSRR”. Dowiedziałem się, że uczynił to po raz drugi. Na początku 1978 roku zamiast medalu Moskwa odznaczyła mnie Dyplomem Przewodniczącego Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego ZSRR, podpisanym przez Jurija Andropowa. Było to mniejsze, lecz też zaszczytne odznaczenie mojej pracy na stanowisku dowódcy kompanii łączności.

Nie sądzę, że byłem niezastąpiony, że miałem wyniki lepsze od innych. Wydaje mi się, że dowódca darzył mnie sympatią i zaufaniem i chciał mi ułatwić drogę na studia. Otrzymałem odznaczenie pozwalające dostać indeks słuchacza Akademii poza konkursem, pod warunkiem pozytywnych wyników na egzaminach wstępnych.

### **Wyjazd na studia**

W drugiej połowie czerwca 1978 roku razem z moim dobrym przyjacielem, kapitanem Anatolijem Woroncowa, opuściliśmy jednostkę. Najpierw naszym pogranicznym śmigłowcem przylecieliśmy do Czyty, a następnie samolotem Aeroflotu do Moskwy. Tam dla kandydatów na studia z całego ZSRR zorganizowano dwutygodniowe szkolenie przygotowawcze. Przyjaciel miał egzaminy w Moskwie, ponieważ zdawał do Akademii Wojskowej im. Frunzego, ja zaś wyjechałem do Leningradu. Nigdy już nie wróciłem do Nierczyńskiego Zawodu na Zabajkale, nigdy też nie spotkałem mojego wiernego i sprawdzonego przyjaciela. Kapitan Woroncowa nie dostał się na studia, wrócił do jednostki i krótko po tym został wysłany do Afganistanu, gdzie zginął przez głupotę starców zasiadających na Kremlu. Bo to oni, a nie myśmy, chcieli tej wojny.

## Egzaminy

Egzaminy wstępne do Akademii Łączności zdawaliśmy w obozie wojskowym pod Lewaszowem, niedaleko Leningradu. Pierwszy i najważniejszy egzamin z organizacji łączności w zmotoryzowanym pułku i dywizji zdałem lepiej od moich kolegów. Dostałem też pozytywne oświadczenie komisji lekarskiej (chwyt z książką był udany). Szybko zdaliśmy egzaminy, zdobywając po prawie tyle samo punktów. Ostatni egzamin z regulaminów wojskowych miał wyjaśnić całą sprawę.

## O butach i Akademii

Dwa dni przed egzaminem miałem sytuację konfliktową z dowódcą naszej grupy. Był to taki sam oficer jak ja, tylko w stopniu majora, i tak samo jak ja chciał dostać się na studia. Nie wiem, o co mu chodziło, ponieważ nie stanowiłem dla niego konkurencji. Startował na studia z puli Ministerstwa Obrony, ja zaś – wojsk pogranicza. Pewnego razu przed obiadem dowódca grupy sprawdzał obecność, nagle podszedł do mnie, spojrzał na moje ładne, ręcznej roboty buty oficerskie i głośno, aby wszyscy słyszeli, powiedział: „Te buty nie będą studiować na naszej Akademii”. Uważał, że zachowywałem się nieodpowiednio, więc wysłał mnie na dyżur do stołówki. Byłem załamany. Przez jego głupotę już jutro mogę wyruszyć w tak zwany „pasiasty rejs”, kiedy to osoba nie przyjęta na studia najpierw odnosi do magazynu pościel zawiniętą w materac z pasiastego materiału, a później pakuje rzeczy i wraca do poprzedniego miejsca służby.

Mocno przygnębiony przed kolacją przyszedłem do stołówki. Myślałem tylko o tym, jak zdać egzamin. Moi koledzy niby współczuli mi, lecz tak naprawdę byliby zadowoleni, gdyby mnie wyeliminowano, przecież każdy chciał dostać się na studia. Byłem nawet przekonany, że dowódca grupy już doniósł o moim „przewinieniu” szefowi naszego kursu, który bacznie wszystkim się przyglądał. Egzamin z regulaminów wojskowych dlatego właśnie był ostatni, żeby można było odrzucić kogo trzeba.

W przeddzień egzaminu byłem mocno zestresowany. W stołówce kelnerki przypominały, że na mnie nadal czeka mój obiad. Minęło sporo czasu, kiedy do stołówki wszedł pewien podpułkownik, wykładowca Akademii i poprosił o coś do jedzenia. Kelnerki odmówiły mu niegrzecznie, ponieważ było już późno. Mocno zdenerwowany chciał wyjść, w tym momencie zatrzymałem go i kazałem kelnerce oddać mój obiad. Nie odmówił. Kiedy jadł, pytał mnie o wyniki egzaminów, jak oceniam swoje szanse. Nie miałem nic do stracenia, więc opowiedziałem mu o wszystkim, w tym też o konflikcie z dowódcą grupy. Wykładowca zażartował, że dzięki temu wydarzeniu on dostał dzisiaj obiad. Na tym nasza rozmowa się skończyła. Następnego dnia okazało się, że ten sam podpułkownik był w składzie Komisji Egzaminacyjnej. Dostałem czwórkę, podczas gdy reszta

moich kolegów pograniczników tylko trójki. Czułem się bezgranicznie szczęśliwy. Wiedziałem, że zbierałem potrzebną liczbę punktów. Czekala mnie jeszcze rozmowa kwalifikacyjna, ale to już była zwykła formalność.

Przez sześć lat służby na Zabajkalu marzyłem o tym, aby zostać słuchaczem Akademii. Mimo różnych przeszkód, dzięki Bogu, osiągnąłem ten cel. Za czasów ZSRR absolwent Akademii Wojskowej miał wszelkie szanse na zrobienie kariery, a nie ma co ukrywać, że każdy oficer chce osiągnąć jej szczyt. Ukończenie studiów nie było takie łatwe. Co roku przyjmowano do Akademii Łączności tylko czterech pograniczników z całego ZSRR. Dlatego oficerowie nawet nie próbowali startować. Dumny jestem z tego, że to ja, Polak, byłem jednym z trzech oficerów z naszej niegdyś dwudziestodwuosobowej grupy w szkole oficerskiej, którzy ukończyli Akademię. Przyznać trzeba, że pozostałe dziewiętnaście osób wcale nie było gorszych ode mnie, zabrakło im tylko łutu szczęścia.

### **Problem z certyfikatem**

Po tym, jak zostałem oficjalnie powiadomiony przez Komisję Egzaminacyjną, że przyjęto mnie na studia, otrzymaliśmy dwa tygodnie, aby wynająć w Leningradzie mieszkanie i sprowadzić rodzinę. Uczyniłem to z wielką przyjemnością.

Od pierwszego września 1978 roku zabrałem się do nauki. Nieoczekiwanie, po kilku tygodniach zajęć, kiedy miały się rozpocząć wykłady z łączności szifrowanej automatycznie, powiadomiono mnie, że nie mogę brać w nich udziału. Wśród moich papierów brakowało certyfikatu, który umożliwiał dostęp do szczególnie ważnych i ściśle poufnych dokumentów. Nikt nie może zostać kandydatem na studia bez posiadania takiego certyfikatu. Miałem taki dokument i widziałem go na własne oczy przed wyjazdem na studia. Zrozumiałem, że dowództwo Akademii wolało w stosunku do mnie zabezpieczyć się raz jeszcze, wystosowało więc do odpowiednich organów zapytanie dotyczące pozwolenia na moje uczestnictwo w zajęciach wymagających specjalnego certyfikatu. Zadzwoiłem do mojej jednostki na Zabajkalu i zapytałem, czy wysłano do Leningradu razem ze wszystkimi dokumentami także certyfikat. Odpowiedź była pozytywna. Czekając na decyzję, nie opuszczałem zajęć. Wiedziałem, że mogę dostać pozwolenie nawet za kilka miesięcy. Obawiałem się, że nie potrafię nadrobić zaległości i zdać egzaminów, jeśli nie będę brał udziału w zajęciach.

Po rozmowie z Nierczyńskim Zawodem udałem się do kierownika katedry pułkownika Iwana Watina, aby porozmawiać o mojej sytuacji. Nie mógł nic na to poradzić, ponieważ obowiązywały określone przepisy, lecz potwierdził, że nie będzie mi zabraniał uczestnictwa w zajęciach. Ryzykowałem prawie przez trzy miesiące chodząc z cudzą przepustką, którą za każdym razem musiałem od kogoś pożyczyć i na wejściu do sali zajęć pokazywać do kontroli. Ciekawe, że

ani na mnie, ani na tych, którzy pożyczali mi przepustki i tak samo łamali prawo jak ja, nikt nie doniósł, była to po prostu normalna solidarność oficerska. Pod koniec listopada dostałem wreszcie certyfikat.

## **Papież Jan Paweł II**

1978 rok w historii świata zasłynął tym, że kardynał Karol Wojtyła z Krakowa został wybrany na Papieża. To wydarzenie w ZSRR w oficjalnych środkach masowego przekazu było interpretowane w różny sposób, raczej starano się tego faktu nie wyolbrzymiać, by nie przyciągać niepotrzebnie uwagi i nie pokazywać publicznie, że ten wybór może nieść jakieś zagrożenia dla istniejącego systemu socjalizmu w Europie Wschodniej.

Natomiast na mojej uczelni wszyscy wykładowcy nauk politycznych – jak jeden mąż – fakt wyboru kardynała Wojtyły na Papieża traktowali jednoznacznie. W ich opinii, a ta na pewno była zbudowana na podstawie wytycznych najwyższych władz sowieckich, jest to jedna wielka prowokacja przeprowadzona za pomocą USA i jej służb specjalnych. Miały one doprowadzić do wyboru Polaka – Papieża po to, by wywołać destabilizację porządku publicznego w katolickiej Polsce, a później doprowadzić do demontażu socjalizmu w tym państwie. Ciekawe, że w wyborze Polaka na Papieża widziano tylko zagrożenie dla Polski, za to nic nie mówiło się, że to może mieć swój wpływ także i na inne państwa o ustroju socjalistycznym, w tym i na ZSRR.

(Nikt z nich wtedy nie przypuszczał, że minie tak niewiele czasu i przywódca sowiecki Michaił Gorbaczow złoży oficjalną wizytę Papieżowi, po której nastąpi pewna sprzyjająca atmosfera dla odrodzenia Kościoła katolickiego w Związku Radzieckim.) Podczas wszystkich lat moich studiów wbijano nam do głowy, że Papież to agent CIA, którego Stany Zjednoczone „osadziły” w Watykanie, by za jego pomocą zburzyć wartości socjalistyczne w Polsce, włącznie z oderwaniem jej od systemu państw socjalistycznych. Ogromną w tym rolę przypisywano profesorowi Zbigniewowi Brzezińskiemu, doradcy prezydenta Jimmy Cartera do spraw bezpieczeństwa narodowego, który miał tę operację rozpracować i w praktyce zrealizować. Zatem przekonywano nas, że ZSRR i bratnia Polska nigdy nie dopuszczą do tego, by plany imperialnej Ameryki i jej satelity Watykanu, na czele którego stoi Polak, się spełniły.

Po takich wykładach zawsze toczyły się dyskusje na tematy polityczne, w których to Polska i Polacy (w oczach tych, co służyli przedtem w Polsce, i nie tylko) uchodzili za najbardziej niepewnego sojusznika w Układzie Warszawskim. Pretensje te były kierowane niejako i pod moim adresem, jakbym to ja, jako Polak, ponosił winę za stanowisko Polski i Polaków, przez co na pewno – takie przynajmniej wtedy miałem odczucie – pragnęli udowodnić mi, że tak naprawdę, to nie jestem jednym z nich.

Tak jak moi koledzy po studiach byłem pod wpływem tej propagandy i tak jak oni żyłem w przekonaniu, że nic nie może zburzyć istniejącego porządku w Europie Wschodniej, tym bardziej w ZSRR i że Papież nic nie będzie mógł zrobić, by wpłynąć na zmianę ustroju politycznego w Polsce. Wtedy największe moje marzenie wiązało się z tym, by móc kiedyś pojechać do Polski, obywatelami której do tragicznego 17 września 1939 roku byli moi rodzice, i móc odwiedzić moich krewnych. Natomiast nigdy, nawet w najśmielszych snach, nie przypuszczałem, że minie 12 lat i ja będę w Watykanie wraz z moimi kolegami, działaczami polskimi z Białorusi, przyjmowany przez naszego Papieża, a za niecałe 13 lat prezydent Lech Wałęsa zaprosi mnie do Zamku Królewskiego w Warszawie na obchody 200. rocznicy Konstytucji 3 Maja, podczas których poznam profesora Zbigniewa Brzezińskiego, uznawanego wówczas za jednego z największych wrogów politycznych ZSRR i Układu Warszawskiego i będę z nim rozmawiać.

### **Układ Warszawski to bluff**

Postanowiliśmy z żoną wykorzystać czas studiów w Leningradzie, aby bliżej poznać zabytki miasta i jego życie kulturalne. Chodziliśmy do muzeów, teatrów, kina. Wtedy poznałem kilku oficerów Wojska Polskiego studiujących w naszej Akademii, z którymi zaprzyjaźniłem się. Było to dla mnie jak łyk świeżego powietrza. Nieraz zapraszali, abym odwiedził ich w Polsce. Bardzo tego pragnąłem, przecież jeszcze nigdy tam nie byłem. Zastanawiałem się nad tym, żeby wystąpić z taką prośbą do władz Akademii. Ponieważ nie znałem nikogo z oficerów, kto by wyjeżdżał w sprawach prywatnych za granicę, zwlekałem z taką prośbą, aby nie nabawić się kłopotów. Pewnego dnia na zebraniu roku nasz szef, pułkownik Abramow, uprzedził, że wszystkie kontakty z oficerami armii zagranicznych są zakazane, gdyby jednak do takich spotkań doszło, następnego dnia musimy złożyć o tym sprawozdanie na piśmie. Traktowano jednakowo wojskowych zarówno z Iranu, Iraku, jak i z Polski. Tak to Układ Warszawski traktował przyjaźń pomiędzy narodami; w rzeczywistości były to puste hasła. Ta hipokryzja z pewnością przyczyniła się później do tego, że wojska radzieckie w Polsce, NRD, Czechosłowacji i innych krajach były uważane za okupacyjne a cały system runął w jeden dzień i nikt nie chciał go bronić.

Rzadko spotykałem się z polskimi kolegami. Tłumaczyłem to brakiem czasu, innymi przyczynami. Taki oto los Polaków rozdzielonych granicą. Ciekaw jestem, kim byłbym, gdyby w 1958 roku rodzina wyjechała do Polski. Jedno jest pewne: nie byłbym tutaj, w mundurze oficera Armii Radzieckiej.

## Chrzest Feliksa

Latem 1979 roku przyjechaliśmy na urlop do Grodna. Mama zwróciła uwagę, że Feliks ma 6 lat i dotychczas nie jest ochrzczony, a tak być nie powinno. Wiedziałem, że trzeba coś z tym zrobić. Tylko jak? Chrzest syna w kościele dawał władzom wojskowym znakomitą okazję do wyrzucenia mnie nie tylko z Akademii, a być może z wojska w ogóle. Teraz miałem dużo do stracenia, przecież tyle musiałem przeżyć, aby dostać się na studia. Naradziliśmy się z Nataszą i powiedzieliśmy rodzicom, że chcemy, aby Feliks był ochrzczony, ale muszą to zrobić bez naszego udziału, niby to w tajemnicy przed nami, na wypadek, gdyby się o tym dowiedział ktoś z dowództwa. Poprosiłem także rodziców, aby przekonali księdza parafii Adamowickiej Kazimierza Orłowskiego, aby nie wpisywał aktu chrztu do sprawozdań wymaganych przez Wiejską Radę Wykonawczą. Na początku sierpnia Feliks został ochrzczony.

Po kilku dniach nasi sąsiedzi, tak zwani prawosławni ateści, zaczęli nas straszyć, że poinformują o wszystkim moje dowództwo, a wiadomo, że prawdziwy oficer radziecki nie będzie klękał w kościele i chrzczył dziecka. Resztę urlopu spędziliśmy w niezbyt miłej atmosferze. Ksiądz Orłowski, niestety, musiał napisać o chrzcie Feliksa do Rady Wiejskiej. Przez dłuższy czas żyliśmy w napięciu i oczekiwaniu na konsekwencje. Na szczęście Pan Bóg czuwał nad nami i wszystko skończyło się dobrze.

## O słońnie i „Solidarności”

Studiowałem w grupie, która liczyła 15 osób. Skład narodowościowy przedstawiał się w sposób następujący: jeden Polak, jeden Białorusin, jeden Ukrainiec i dwunastu Rosjan. Ciekawe, że wśród Rosjan było dwóch oficerów noszących nazwiska polskie – Igor Kochanowski i Władimir Gomółka. Żaden nigdy się nie przyznał do polskich korzeni, obydwaj uważali się za Rosjan z krwi i kości. W innej grupie studiował Białorusin Waław Bawtramowicz, który pewnego dnia na jakimś spotkaniu przyznał się, że tak naprawdę jest Polakiem, chociaż w dokumentach wpisana ma inną narodowość. Pochodził z zachodnich terenów Witebszczyzny, ze wsi, która w okresie międzywojennym należała do Polski. Po wojnie wszystkim mieszkańcom, w tym też jego rodzicom, przymusowo wpisano do paszportów narodowość białoruską. Spotykaliśmy się często z Waławem, kiedy nasze grupy miały wspólne zajęcia. Był oficerem łączności rządowej. W roku 1999 dowiedziałem się od kolegi ze studiów, że Waław został generałem, z czego bardzo się ucieszyłem. Byliśmy zżyci, pomagaliśmy sobie nawzajem w nauce i sprawach życiowych.

Na studiach stosunek do mnie jako Polaka był dobry. Miałem wyłącznie bardzo dobre wyniki. Starłem się udowodnić, że nie jestem gorszy od innych, lecz

w wielu przypadkach nawet lepszy, świadectwem zaś tego były moje wyniki w nauce. Wszystko było w porządku aż do momentu, kiedy w Polsce zaczęły się strajki i powstała NSZZ „Solidarność”. Odbierałem wydarzenia w Polsce w sposób inny niż moi koledzy, ponieważ czytałem prasę polską, oni zaś wszystkiego dowiadawali się od prowadzącego zajęcia polityczne. Pewnego dnia w grupie doszło do poważnego konfliktu na tym tle. Z jednej strony byłem ja, z drugiej – reszta grupy. Doszło do wymiany ostrych uwag. Bronilem polskiej racji stanu. Usłyszałem obraźliwe słowa pod adresem Polski i Polaków. Kapitan, o ładnym polskim nazwisku Kochanowski, powiedział, że widocznie coś ze mną jest nie w porządku, dlatego że jem rosyjską słoninę, a ciągnę w polską stronę. Wydarzyło się to jeszcze przed wprowadzeniem stanu wojennego w Polsce. Jestem przekonany, że po wprowadzeniu stanu wojennego niejeden z nich pojechałby do Polski na ochotnika, gdyby zaistniała taka potrzeba, aby bronić socjalizmu. Z czasem zapomniano o tym konflikcie, a moje stosunki z resztą grupy wróciły do normy.

Po wprowadzeniu stanu wojennego uważnie obserwowałem moich przyjaciół – oficerów Wojska Polskiego. Byli wyraźnie załamani. Nie ukrywałem swojej sympatii do „Solidarności”, przez to w ich oczach uchodziłem za szaleńca. Ciekawe, że żony tych oficerów tak samo jak ja wiązały z „Solidarnością” nadzieje na lepsze czasy dla Polski. Bo to panie, nie zaś ich mężowie, stykały się z pustymi półkami w sklepach podczas każdego przyjazdu do Polski i miały już dosyć uprawiania drobnego handlu, kursując pomiędzy Leningradem a Polską, żeby pomóc swoim rodzinom.

### **Awansować nie mogę**

W Akademii od lat istniał dobry zwyczaj, zgodnie z którym można było wcześniej awansować na kolejny stopień oficerski na podstawie bardzo dobrych wyników w nauce. Nadanie stopni odbywało się zwykle raz do roku z okazji święta Armii Radzieckiej. W lutym 1982 roku, będąc na czwartym a zarazem ostatnim roku, spełniałem wszystkie wymogi, aby awansować na majora. Nie miałem żadnej wątpliwości, że ten stopień dostanę. Jakże wielkie było zaskoczenie moje i moich kolegów, kiedy mojego nazwiska zabrakło na liście awansowanych oficerów. Mogłem wymagać wyjaśnień od kuratora roku, dziekana fakultetu, kierownictwa Akademii. Postanowiłem jednak dać spokój, ponieważ nic by to nie zmieniło. Byłem pewien, że awans i tak dostanę za pół roku, w lipcu, zaraz po ukończeniu Akademii.

### **Ponownie na Wschód**

Cztery lata studiów w Wojskowej Akademii Łączności minęły bardzo szybko. Ukończyłem studia z wyróżnieniem i zostałem awansowany do stop-

nia majora. Myślałem o tym, by pozostać w Akademii i zająć się pracą naukową, bo miałem do tego chęć i predyspozycje. Nic z tego jednak nie wyszło, a to z tego powodu, że w adiunkturze pracował już jeden Polak i miał on napięte stosunki z kierownictwem Akademii. Dochodził swoich racji i rozsyłał skargi na kierownictwo, w tym i do Moskwy. Pewnie dlatego kierownictwo nie zamierzało więcej kusić losu i przyjmować jeszcze jednego Polaka. W tej sytuacji musiałem wracać do służby w wojskach pogranicza. Ponieważ uzyskałem dyplom z wyróżnieniem, mogłem jako jedyny wśród naszej czwórki pograniczników wybrać przyszłe miejsce służby. Wybrałem Władywostok. Nie chciałem wracać na Zabajkale, do Czyty – tam już byłem, a jechać do Aszchabadu czy Duszanbe, to tak jakby na ochotnika wyruszyć do Afganistanu.

## **Władywostok**

Po krótkim urlopie spędzonym w Grodnie u rodziców, pod koniec sierpnia 1982 roku, po dziesięciu godzinach lotu samolotem Il-62, wylądowaliśmy w porcie lotniczym we Władywostoku. Pierwsze uczucie – brak powietrza. Zaskoczyła nas wszyskch wysoka wilgotność.

W sztabie Zarządu Wojsk Pogranicza na Oceanie Spokojnym we Władywostoku dostałem przydział do Oddziału Łączności. O mieszkanie w mieście było bardzo ciężko. Aby je zdobyć, trzeba było czekać parę lat w kolejce. Pozostawało wynajęcie jakiegoś locum. Zapłaciliśmy gospodyni za pół roku z góry (bo taki miała wymóg), zapisaliśmy Feliksa do szkoły, a ja mogłem przystąpić do obowiązków. Natasza szukała pracy. Byliśmy zadowoleni, ponieważ wszystko się układało dobrze.

Władywostok wywarł przyjemne wrażenie. Piękne miasto, położone na skarpach nad oceanem, szczególnie imponująco prezentowało się wieczorem i w nocy. Nie wiem, czy gdzieś jeszcze w ZSRR można było zobaczyć w środku miasta olbrzymie statki wojskowe i łodzie podwodne. Władywostok był zamknięty dla obcokrajowców. Obywatele ZSRR mogli wjechać do niego tylko na podstawie specjalnych przepustek. Miasto było czyste, zadbane, a sklepy nieźle zaopatrzone. Nie można w nim było jednak napić się piwa, a jeśli już – to z półlitrowych słoików, do których lano piwo z żółtej beczki ustawianej za każdym razem w innym miejscu. Czegoś takiego nie było wtedy ani w Leningradzie, ani w Grodnie, ale za niecałe dziesięć lat z takich słoików piło się piwo także w Grodnie.

W oddziale zostałem przyjęty bardzo życzliwie przez szefa oraz oficerów. Zgodnie z tradycją zaprosiłem wszystkich oficerów, aby oblać mój przyjazd. Od razu zaprzyjaźniłem się z jednym z nich, Ukraińcem Dmitryjem, noszącym ładne polskie nazwisko Baranowski. „Zanurzyłem się” w pracę, która odpowiadała wiedzy zdobytej w Akademii. Wszystko układało się jak najlepiej.

## **Szczęście długo nie potrwało**

Po kilku tygodniach zostałem wezwany do szefa łączności Okręgu. Grzecznie zaproponowano mi nowe miejsce służby. Miał to być Dalnierzeczeńsk, miasto położone w pół drogi pomiędzy Chabarowskiem a Władywostokiem. Nie było to atrakcyjne miejsce w porównaniu z Władywostokiem. Nasz okręg chronił granice na lądzie – z Chinami, Koreą Północną, a na morzu – z Japonią na Wyspach Kurylskich i na Sachalinie. Wolałem wyjechać na Wyspy Kurylskie, gdzie rok służby był zaliczany jako dwa oraz podwójnie płacono, lub też na Sachalin, gdzie wszystko zwiększało się odpowiednio o półtora raza. Jak już cierpieć, to przynajmniej wiedząc za co. Musiałem niestety dostosować się do innej propozycji.

Poradziłem się Nataszy, która nie chciała po tak krótkim pobycie nagle zmieniać miejsca zamieszkania. Musiała się napracować, aby uporządkować rzeczy, które przyjechały z Leningradu w kontenerze, wyremontować i umeblować mieszkanie, stworzyć przytulny dom. Teraz trzeba było wszystko znowu rzucić, ponownie spakować rzeczy do kontenera, zabrać ze szkoły Feliksa, który już zdążył poznać nowych przyjaciół – i wyjechać. Było to ponad jej siły. Nie było też pewne, czy gospodyni, która wynajmowała mieszkanie, zechciała by nam zwrócić zapłacone za pół roku pieniądze. Postanowiliśmy, że będę bronić się przed tym przeniesieniem.

## **Jak nie Dalnierzeczeńsk, no to Afganistan**

Upierałem się i zwlekałem tak długo z przeniesieniem się do nowego miejsca służby, aż zostałem wezwany do szefa działu kadr Zarządu Okręgu Pogranicznego. Rozmowa nie była przyjemna. Stary, doświadczony szef służbista powiedział krótko: albo wyjeżdżam do Dalnierzeczeńska, albo za jakiś czas wyląduję w Afganistanie. Nie była to pogróżka bez pokrycia czy żart. Co roku ktoś z naszego oddziału tam wyjeżdżał. Krótko przed moim przyjazdem do Władywostoku wrócił z Afganistanu major Nikołaj Tulskij. Jakoś przy piwie powiedział: „Jesteśmy przestępcami”. Miał na myśli wojsko i wszystkich, którzy za wojskiem stoją. Nie popierał tej wojny, uważał ją za wielkie przestępstwo przeciwko własnemu narodowi i życzył mi, abym nigdy się tam nie znalazł.

Na przyjęcie propozycji wyjazdu do Dalnierzeczeńska dostałem w kadrach dwa dni. Koledzy poradzili mi wyjechać. Kiedy opowiedziałem żonie o rozmowie, stwierdziła, że lepiej w ogóle odejść z wojska niż czuć się traktowanym w ten sposób. Zdawaliśmy sobie sprawę, że jest to jednak nierealne. Oficerowie nie mieli wtedy możliwości porzucenia wojska, wobec tego podjęliśmy wspólnie z żoną trudną decyzję wyjazdu, gdzie kazali. Spakowaliśmy ponownie rzeczy i w drugiej połowie września pociągiem relacji Władywostok–Moskwa wyjechaliśmy do nowego miejsca służby.

## Dalniereczensk

Dalniereczensk powitał nas babim latem i ładną słoneczną pogodą. Dowódca oddziału pułkownik Wiktor Jeremickij był szczególnie zadowolony z mojego przyjazdu, ponieważ mój poprzednik, szef łączności oddziału, nie radził sobie najlepiej. Po przekazaniu wszystkich spraw wyjechał na Sachalin, aby objąć niższe stanowisko, lecz na zdecydowanie korzystniejszych warunkach pełnienia służby.

Według oficjalnych danych moja jednostka była znana, a nawet zasłużona dla wojsk pogranicza ZSRR. Jej patronem był Wiaczesław Mienżynski. Właśnie ona broniła Wyspy Damanskiej na rzece Usuri przed Chińczykami w 1969 roku. Wielu oficerów i żołnierzy zostało odznaczonych, a sierżantowi Jurijowi Babańskiemu i lejtnantowi Iwanowi Strelnikowowi (pośmiertnie) nadano honorowe miano Bohaterów Związku Radzieckiego. Jeszcze podczas tych wydarzeń miasto miało nazwę Iman. Po pamiętnych wydarzeniach uznano, że chińską nazwę trzeba zmienić i w ten sposób powstała nazwa Dalniereczensk. Taka jest wersja oficjalna. Z wersją nieoficjalną zapoznał mnie sąsiad, major, który spędził całe życie w tej jednostce i miał wkrótce odejść na emeryturę. Pewnego dnia zaprosiliśmy go z żoną na obiad. Właśnie wtedy opowiedział o wydarzeniach, w których brał udział. Wojnę o wyspę, według jego relacji, spowodowali pogranicznicy sowieccy. Otóż każdego dnia koło wyspy spotykały się patrole sowiecki i chiński, dość często na skutej lodem rzece urządzano bójki. Chwytano za wszystko, co było pod ręką, łącznie z kolbami od „kałasznikowa”. Dowództwo strażnicy sowieckiej wiedziało o tym, lecz po cichu zachęcało żołnierzy do potyczek, akceptując wybryki na granicy. Podczas kolejnej takiej bójki pogranicznicy zaczęli strzelać do siebie. Wielu oficerów i żołnierzy, po jednej i po drugiej stronie, straciło życie. Przed wojną wyspa należała do ZSRR, po wojnie – do Chin. Chińczycy zasypując ziemią rzekę przekształcili ją w półwysp. Fakt oddania wyspy Chinom był starannie ukrywany. W muzeum naszej jednostki te wydarzenia były skrupulatnie odzwierciedlone, co prawda w zupełnie inny sposób, niż dowiedziałem się od bezpośredniego uczestnika wydarzeń. W muzeum wystawiono między innymi dużo listów nadesłanych z różnych państw, w których solidaryzowano się z obrońcami granic ZSRR. Na własne oczy widziałem i czytałem taki list z Polski.

## Mordercza praca

Nie może być skutecznej ochrony granic bez sprawnie działającej łączności. Widocznie nieprzestrzeżenie tej zasady było główną przyczyną, dla której usunięto ze stanowiska mojego poprzednika. Jednostka nasza kontrolowała granice z Chinami na rzece Ussuri razem z samodzielną brygadą opancerzonych statków patrolowych, silnie uzbrojonych i wyposażonych w nowoczesne środki łączności.

Zdawałem sobie sprawę z tego, że czeka mnie ciężka i odpowiedzialna praca związana z udoskonaleniem systemu łączności jednostki. Początek nie był łatwy. Niedługo po moim przyjeździe zastrzelił się mój podwładny podoficer, którego zdradzała żona. Zostałem surowo ukarany przez dowództwo okręgu za braki w pracy wychowawczej z podwładnymi. Nie czułem się winny. Czy te parę tygodni wspólnej pracy można uznać za termin wystarczający do bliższego poznania ludzi, ich problemów i odpowiedzialności za nich?

Moje doświadczenia z Zabajkała, plus dobre wykształcenie wyniesione z Akademii, pozwoliły mi osiągnąć cel, który postawiłem przed sobą i realizacji którego oczekiwało moje dowództwo. Lata 1982–1984 były szczególnie ciężkie. Nie miałem dni wolnych, pracowałem od świtu do zmierzchu. Osiągnąłem jednak efekt. Zbudowaliśmy doskonały system łączności, który spełniał wszystkie wymagania stawiane tego typu urządzeniom. Najważniejsze osiągnięcie to fakt, że odeszły do historii napowietrzne linie łączności. Odtąd wielokanałowe systemy łączności działały wyłącznie w oparciu o podziemne linie kablowe. Od tego czasu wszystkie szkolenia oficerów łączności naszego okręgu pogranicznego, dotyczące pogłębiania wiedzy i poznania nowych środków łączności, odbywały się w naszej jednostce. Udało się nareszcie zorganizować stały system automatycznie utajnianej łączności ze statkami opancerzonymi na Ussuri. To najbardziej zaimponowało moim dowódcom we Władywostoku. Po niespełna dwóch latach służby poczułem, że mam autorytet nie tylko wśród moich podwładnych, lecz także wśród przełożonych.

W roku 1983 urodził się nam drugi syn, Eugeniusz. Byłem niezmiernie szczęśliwy. Dopiero teraz, wraz jego urodzeniem, poczułem, co to znaczy być ojcem. Widocznie byłem za młody, kiedy urodził się Feliks. Moja rodzina dopingowała mnie do pracy. To właśnie dla niej robiłem wszystko, żeby awansować na lepsze miejsce służby. Oficerowie, którzy nie potrafili zmobilizować się do takiej właśnie pracy, zaczynali i kończyli służbę na Dalekim Wschodzie albo tam, gdzie diabeł mówi dobranoc.

Rok po moim przyjeździe do naszej jednostki, z Wojskowej Akademii Zaplecza i Transportu z Leningradu przyjechał oficer, aby objąć stanowisko zastępcy dowódcy jednostki. Jego żona zwlekała z przyjazdem, a kiedy wreszcie po pół roku zjawiała się, mąż praktycznie był już alkoholikiem. Po roku usunięto go ze stanowiska i przeniesiono na nowe miejsce, a po następnych sześciu miesiącach popełnił samobójstwo strzelając do siebie. Zostawił dwoje małych dzieci.

## Niespodzianka

Pod koniec sierpnia 1984 roku odwiedzałem jedną ze strażnic naszej jednostki. Pewnego dnia do pokoju szefa strażnicy wchodzi major z

odznaką Wojskowej Akademii Łączności i melduje się: Szef Łączności Dalnierzeczeńskiego Oddziału Pogranicznego major Władimir Pałamarczuk. Osłupiałem i odpowiedziałem, że to ja na razie jestem szefem. Odparł – już ja. Dowiedziałem się od niego, że bezpośrednio po ukończeniu Akademii skierowany został przez Zarząd Główny Wojsk Pogranicza w Moskwie do naszej jednostki, właśnie na moje miejsce. Wróciliśmy natychmiast do Dalnierzeczeńska, zadzwoniłem do szefa łączności okręgu, który też był zaskoczony, ponieważ mojego następcę skierowano od razu do jednostki. Kazano mi przekazać sprawy i natychmiast wyjeżdżać do nowego-starego miejsca służby we Władywostoku. Dopiero teraz poczułem, że żal mi jest opuszczać to wszystko, co zrobiłem własnymi rękami. Poznałem tu wielu dobrych ludzi, zaprzyjaźniłem się z nimi. Natasza miała dobrą pracę w domu dziecka, Feliks swoją szkołę i przyjaciół. Był też problem z małym Gieniem, z którym trzeba było wyruszać w kolejną podróż.

### **Podziękowanie za pracę**

Trochę zazdrościłem mojemu następcy, że dostaje doskonały system łączności, więc nie będzie się mordował tak jak ja w pracy. Doceniał to i szczerze mi to przyznawał. Na początku września na ogólnym zebraniu oficerów i podoficerów jednostki uroczyście mnie pożegnano, dowódca wręczył medal „Za zasługi w ochronie granic ZSRR” oraz prezent.

Po długich naradach z żoną postanowiliśmy, że na razie ona z dziećmi zostanie w Dalnierzeczeńsku, gdzie mają zapewniony byt. Kiedy będziemy mieli gdzie mieszkać we Władywostoku, rodzina dołączy do mnie.

### **Sprawa nie zrealizowana**

W 1984 roku w ZSRR wdrażano reformę oświaty szkolnej. W prasie rozpoczęto dyskusję na ten temat. Też włączyłem się do niej i napisałem obszerny list, w którym zwróciłem uwagę reformatorów na to, że na Grodzieńszczyźnie i w samym Grodnie nie są realizowane prawa Polaków do nauczania dzieci w języku ojczystym, czyli polskim. Zaproponowałem, aby ten problem uwzględniono w nowej ustawie o szkolnictwie.

Poprosiłem żonę, żeby jako nauczycielka języka rosyjskiego zrobiła korektę stylistyczną tego listu. Zrobiła to, ale przekonywała mnie, abym nie wysłał listu, mówiła, że nie pomoże to nikomu na Grodzieńszczyźnie, natomiast wyrządzą szkodę sobie i rodzinie. W tym ogólnym zamieszczeniu związanym z wyjazdem do Władywostoku przyznałem żonie rację, a list pozostał w moim archiwum.

## Ponownie Władywostok

Po dwóch latach pracy w Dalnierzeczensku, powróciłem do tego, co miałem po ukończeniu Akademii, czyli dostałem poprzednie stanowisko. W ciągu niespełna miesiąca zostałem starszym oficerem oddziału łączności w sztabie Zarządu Okręgu Pogranicznego we Władywostoku. Był to już przedostatni szczebel kariery wojskowej, z którego później mógłbym awansować na najwyższe stanowisko w moim zawodzie – szefa łączności okręgu pogranicznego. Poza tym już za dwa lata miałem zagwarantowany stopień podpułkownika. No i zacząłem zarabiać znacznie więcej niż dotychczas.

Rok 1984 zleciał szybko. Większość czasu spędziłem w delegacjach, kursując pomiędzy Władywostokiem a jednostkami pogranicznymi chroniącymi granic z Chinami na lądzie. W lutym 1985 roku dostałem ładne trzypokojowe mieszkanie w bloku zbudowanym na skarpie, z którego okien roztaczał się widok na zatokę Złoty Róg. Sprowadziłem rodzinę i zaczęło się nareszcie normalne, dotąd nie znane mi stabilne życie. Do tego nowego układu niełatwo było się przyzwyczaić. Nie trzeba już było, jak w Dalnierzeczensku, przebywać stale w gotowości do działań. Nikt nie budził mnie w nocy, aby wezwać w nadzwyczajnej sytuacji. W mieszkaniu nie miałem telefonu, oznaczało to święty spokój po godzinach pracy. Natasza dostała pracę w szkole. Nasz budżet rodzinny odczuwalnie wzrósł.

## Miłe spotkania i nowe przyjaźnie

Ciekaw jestem, ilu tak naprawdę było Polaków i osób polskiego pochodzenia w Armii Radzieckiej. Sądzę, że były takie statystyki w Ministerstwie Obrony. Przez niecały rok służby we Władywostoku poznałem kilku rodaków. Pewnego razu, będąc w delegacji w jednym z oddziałów naszego Okręgu, wyjechałem z szefem strażnicy na granicę, aby sprawdzić system łączności z pododdziałem ochrony przeciwpowietrznej stacjonującym na odcinku tej strażnicy. Po pracy dowódca zaprosił nas na herbatę. Podczas rozmowy wyjaśniło się, że był Polakiem z Wilna, tam właśnie ukończył szkołę polską i Wyższą Szkołę Oficerską.

Innym razem z grupą oficerów naszego sztabu, sprawdzających gotowość bojową naszej jednostki, byłem w miasteczku Pogranicznyj. Poznałem tam szefa strażnicy kapitana Dąbrowskiego. Tak samo brzmi nazwisko panińskiej mojej matki. Okazało się, że jego przodek ze strony ojca brał udział w powstaniu styczniowym i został zesłany na Sybir. Urodzony na Syberii, zapisany jako Rosjanin, nie władający językiem polskim, kapitan miał dobre polskie serce i wielki sentyment do kraju, w którym ani on, ani jego rodzice nigdy nie byli.

We Władywostoku co miesiąc oficerowie dostawali przydział żywnościowy. W mieście był problem z tym, gdzie zdobyć dobre mięso czy ryby. Ja

tego problemu nie miałem. Żołnierz, który wydawał żywność, był Polakiem. Nazywał się Majewski, pochodził z Ałtaju na Syberii. Nasza rodzina miała wielu znajomych i przyjaciół. Stosunek do mnie zawsze był dobry. Nigdy nie ukrywałem, jakiej jestem narodowości. Pamiętałem także o rodakach na Białorusi.

## Na urlopie

*Lipiec 1986, Grodno.* Po dwuletniej przerwie kolejny urlop znowu spędzamy w rodzinnej wsi Łosośna. Zawsze, kiedy tam przyjeżdżamy, w najbliższą sobotę tradycyjnie idziemy całą rodziną na cmentarz. Lubię przychodzić na cmentarz, to jedyne miejsce, gdzie jeszcze zachowała się polskość. W polskich inskrypcjach na wielu nagrobkach jest dużo błędów, jest to jednak miejsce, które zawsze przypomina o naszej historii.

17 lat spędziłem z dala od rodzinnych miejsc, coraz wyraźniej więc widzę, że nawet w tych miejscowościach, gdzie mieszkają głównie Polacy, ludzie rzadziej posługują się językiem polskim. Dlaczego tak się dzieje? Czyja to wina?

Cmentarz znajduje się we wsi Adamowicze. Mieszka tutaj moja szkolna koleżanka Alina Konon. Chodziła do mojej szkoły przez ostatnie dwa lata i była jedną z trzech osób w klasie, które mówiły w swoim języku ojczystym – po polsku. Wtedy nie przywiązywałem do tej sprawy większej uwagi, dzisiaj natomiast rozumiem, że z jej strony był to mały czyn bohaterski, wyzwanie rzucone systemowi.

W czasie urlopu z kilkoma przyjaciółmi rozmawialiśmy o tym, że umiera język, że trzeba koniecznie coś zrobić. Żaden z nich nie traktował tego problemu poważnie. Mówili: „Przeżyjemy bez polskiego, byleby było co jeść”. Wpadłem do Aliny. Opowiedziałem o tym, co nie daje mi spokoju zawsze, kiedy przyjeżdżam na urlop. Alina jest patriotką, nie wierzy jednak, że można coś zmienić w tym świecie. Bardzo żałuję, że los nie pozwala mi być tutaj, lecz gdzieś na Dalekim Wschodzie. Czyżby rzeczywiście nic nie można było zmienić? Podczas tegoż urlopu dostałem telegram, z którego dowiedziałem się, że zostałem awansowany do stopnia podpułkownika.

## List do redakcji „Prawdy Grodzieńskiej”

*Władystok, 1 maja 1987.* Mam całodobowy dyżur w sztabie Okręgu, czasu więc pod dostatkiem. „Uzbrojony” w gazety i różne pomysły, po raz kolejny czytam „Trybunę Ludu”, która zamieściła tekst deklaracji „O współpracy w dziedzinie ideologii, kultury i nauki między PRL a ZSRR”. Wydaje mi się, że obrano nowy kierunek naszych wzajemnych kontaktów. Nadszedł czas wskrzeszenia polskość na mojej Grodzieńszczyźnie.

Przez wszystkie moje świadome lata ciągle zadaję sobie pytanie: „Jak długo w naszym kraju będzie się deklarowało co innego, a działa się zupełnie co innego?” Zdecydowałem się więc nareszcie sięść i napisać list o sytuacji Polaków na Grodzieńszczyźnie do gazety „Prawda Grodzieńska”.

Oto jego treść:

### ***Czy język polski stanie się językiem ojczystym dla mojego syna?***

*W odróżnieniu od moich krewnych oraz kolegów ze szkoły, moje losy ułożyły się tak, że od chwili rozpoczęcia nauki w szkole wojskowej, prawie od 18 lat pełnię służbę w różnych miejscowościach kraju. Z moim rodzinnym Grodnem, krewnymi i przyjaciółmi spotykam się tylko podczas urlopów. W moim mieście lubię wszystko: śródmieście z jego starą zabudową, zabytkami architektury oraz szybko rozwijające się osiedla na obrzeżach. Miasto jest wspaniałe ze wznoszącymi się wieżami kościołów i dzielącym go na dwie części Niemnem, tak pięknie opiewanym przez współczesnego Puszkiniowi naszego poetę i ziomka Adama Mickiewicza. Miłość do tego miasta, do swoich krajan zaszczerpiłem swojej rodzinie.*

*Do tego, aby wziąć do ręki pióro i podzielić się z Czytelnikiem problemami nurtującymi mnie od lat, zmusiła mnie szczegółowa analiza wystąpień pisarzy na plenum Zarządu Związku Pisarzy ZSRR oraz wiara w zmiany na lepsze, związane z pierestrojką w naszym społeczeństwie. Czytając wspomniane wystąpienia odniosłem wrażenie, że Nił Gilewicz, Adam Maldzis oraz wielu innych literatów mówi o wspólnych dla nas problemach, których rozstrzygnięcie zależy od każdego z nas.*

*Istota nurtującej mnie, a być może nie tylko mnie, kwestii polega na niedostatecznej znajomości języka ojczystego wśród moich ziomków – Polaków z miasta i obwodu, a dla pewnej grupy osób nawet całkowitego jej braku. Kiedy przyjeżdżam na urlop, coraz wyraźniej stwierdzam tendencję zanikania języka polskiego. Odnosi się ta uwaga do ludzi starszego pokolenia, młodsza generacja natomiast w ogóle nie posługuje się polszczyzną. Niestety, życie ludzkie nie trwa wiecznie i podczas kolejnego przyjazdu nie doliczam się kogoś, z kim jeszcze wczoraj można było długo i z zadowoleniem gawędzić w języku ojczystym. Dziś już nie żyje mój dziadek i jego bracia, nie ma protoplastów rodu Dąbrowskich, Łobanowskich, Wojtulewiczów i innych.*

*Przykro jest, że napisy na pomnikach cmentarnych obfitują w błędy dotyczące pisowni nazwisk, a w niektórych domach nikt nie potrafi odczytać listu od krewnych z Polski. Znajomość języka polskiego sprowadza się najczęściej do kilkunastu najprostszych, powszechnie używanych słów. Często zadaję sobie pytanie: czy w dobie obecnej tak ważna jest znajomość języka ojczystego – przede mnie i moje dzieci? Może na dzisiejszym etapie rozwoju społeczeństwa wystarczy znajomość języka rosyjskiego? Wspominając słowa jednego z najbardziej kulturalnych pisarzy okresu radzieckiego Konstantego Paustowskiego, bez wahania mogę stwierdzić – nie wystarczy. Paustowski pisał: „Na podstawie stosunku każdego człowieka do swego języka można dokładnie sądzić nie tylko o jego poziomie kulturalnym, lecz również o jego postawie obywatelskiej. Prawdziwa miłość do swojego kraju jest nie do pomyślenia bez miłości do swojego języka. Człowiek wykazujący obojętność do języka ojczystego jest dzikusiem. Jest on w istocie swojej nosicielem zła, ponieważ jego obojętność wobec języka wiąże się z całkowitą obojętnością wobec przeszłości, dnia dzisiejszego i przyszłości własnego narodu”.*

*Pytam Was, moi ziomkowie, czy na zawsze my oraz przyszłe pokolenia utracimy znajomość języka ojczystego, którą przekazali nam nasi przodkowie?*

*Obecnie cały nasz kraj przeżywa gwałtowne zmiany. Odbywa się pierestrojka nie tylko w gospodarce, lecz także w sercach i sposobie myślenia nas wszystkich. Odrzuca się wszystko, co jest obce i narzucone naszemu społeczeństwu. Wszystko robi się po to, aby każdy miał uczucie, że jest gospodarzem kraju. Odbywa się walka ze zwolennikami magii cyfr, którzy prowadzili nas do ślepego zaułku oraz spryciarzami od mydlenia oczu. Nie mogę być dzisiaj zadowolony z wyników ostatniego spisu ludności w obwodzie. Problem stanowi fakt, że większość Polaków za swój język ojczysty uznaje białoruski lub rosyjski. Świadczy to o tym, że nie władają oni językiem polskim, że prawdopodobnie nikt z nich nie czytał w języku swoich przodków utworów klasyków polskich: Adama Mickiewicza, Henryka Sienkiewicza, Bolesława Prusa oraz innych. Nie czytał powieści naszej krajanki Elizy Orzeszkowej oraz pisarzy współczesnych, nie zna dziejów swojego narodu.*

*Wspominając lata szkolne, muszę stwierdzić, że zawsze za mnie i moich rodziców ktoś decydował co do języka ojczystego, którego powinienem był się uczyć. Komuś widocznie na rękę było zignorować prawo konstytucyjne każdego, w tym również moje, do nauki języka ojczystego. Dziś należy wyrazić ubolewanie, że już od ponad*

*czterdziestu lat towarzysze, którzy odpowiadają za oświatę w obwodzie, zapomnieli o leninowskich nakazach dotyczących równouprawnienia języków oraz o tym, że są niedopuszczalne i niezgodne z konstytucją jakiegokolwiek przywileje przyznawane poszczególnym językom. Naiwne jest twierdzenie, że jedynie w rodzinie można zaszczerpić dzieciom znajomość języka polskiego, a jego nauka w szkole jest nieobowiązkowa.*

*U nas są stwarzane wszelkie warunki do nauki języka angielskiego, francuskiego, hiszpańskiego i innych w szkołach specjalistycznych, lecz niestety, nie pomyślano o warunkach do nauki języka ojczystego. Dowiedziałem się niedawno z prasy, że na Litwie obywatele ZSRR narodowości polskiej mają szerokie możliwości do nauki języka ojczystego. W 124 szkołach dzieci uczą się języka polskiego, w 63 szkołach nauka wszystkich przedmiotów odbywa się w języku polskim. W republice jest wydawana gazeta polskojęzyczna „Czerwony Sztandar”.*

*Uważam, że czas najwyższy naprawić błędy popełnione w drugiej połowie lat czterdziestych, kiedy przez woluntarystyczne decyzje zlikwidowano polskie szkoły w obwodzie grodzieńskim, przez co wyrządzono krzywdę Polakom nie tylko w obwodzie, lecz także w całym kraju. Wynikiem tej decyzji stał się fakt, że dziś dla 60 tysięcy Polaków w Grodnie i tyłuż w rejonach Grodno i Werenowo, gdzie Polacy stanowią 85% ludności, nie ma ani jednej szkoły z nauczaniem w języku polskim. Podobna sytuacja istnieje również w innych rejonach obwodu.*

*Jeżeli wspólnym wysiłkiem nie poprawimy obecnej nienormalnej sytuacji, jeszcze bardziej ją spotęgujemy i będziemy nadal płodzić nihilistów narodowych, którzy nie znają ani kultury, ani języka swojego narodu.*

*Takie są obecnie fakty, których nie da się ukryć, chociaż jesteśmy już przyzwyczajeni do ich omijania.*

## **Pęknięcie**

*Maj 1987, Władywostok.* Po moim ubiegłorocznym pobycie w Grodnie i do chwili napisania listu do „Prawdy Grodzieńskiej”, walczyłem sam ze sobą. Zastanawiałem się, co mam robić, jak żyć dalej. Miałem do wyboru karierę wojskową lub powrót do Grodna. Pierwsza możliwość była w zasięgu ręki i znacznie łatwiejsza do realizacji. Problem polegał na tym, że nie chciałem dalej wiązać swojego życia ani z Władywostokiem, ani w ogóle ze Wschodem. Miałem tego dosyć. Zdarzały się dni, kiedy nic nie potrafiłem robić, zżerała mnie tęsknota za moim rodzinnym miastem, nie mogłem spać po nocach. Czuję, że wariuję. Uświadomiłem sobie, że coś we mnie pękło.

Wspólnie z żoną podjęliśmy decyzję, że będziemy się starać o powrót na zachód. Dla mnie oznaczało to tylko Grodno. Dla Nataszy mógł to być Orzeł, Kijów, ewentualnie Moskwa.

Po tym, jak rozpoczęła się Gorbaczowska pierestrojka, w życie weszła ustawa, na mocy której oficerowie ochrony pogranicza po 10 latach służby na Dalekim Wschodzie mogli się ubiegać o przeniesienie na zachód. W ZSRR droga od ustawy do realnej rzeczywistości jest bardzo długa, czasami wręcz nie do pokonania, postanowiłem jednak tę drogę pokonać. Widocznie Pan Bóg czuwał nad nami. Mój młodszy syn Genio cierpiał na egzemę umiejscowioną na przegubie ręki. Lekarz zalecił zmianę klimatu. Była to szansa na szybsze przeniesienie. Nie dostaliśmy jednak specjalnego zaświadczenia ze szpitala wojskowego – zgodnie z rozkazem Ministra Obrony, nie było żadnych przeciwwskazań zdrowotnych do pełnienia służby we Władywostoku.

Znajomy lekarz poradził wtedy, abyśmy zaprowadzili syna do przychodni cywilnej. Dzięki różnym chwytom, w końcu udało się uzyskać odpowiednie zaświadczenie zalecające zmianę klimatu dla dobra zdrowia dziecka. Dokument ten miał zmienić nasz los. Za Leonida Breżniewa nikt by nawet nie zwrócił uwagi na coś takiego, lecz w dobie „przebudowy” moi przełożeni nie chcieli narażać się na skargę do Moskwy. Wiedziałem teraz dokładnie, co mam uczynić – złożyć raport o przeniesienie na granicę zachodnią. Kiedy wyjeżdżałem w delegację do Moskwy, próbowałem rozmawiać w tej sprawie w Naczelnym Dowództwie Wojsk Pogranicza. Nie znalazłem wtedy zrozumienia, ale w tym czasie nie miałem jeszcze tak mocnego argumentu, jak zaświadczenie o chorobie syna. Liczyłem także na poparcie mojego dobrego znajomego, pułkownika Fiodora Korniejewa, szefa łączności Zachodniego Okręgu Pogranicznego, któremu podlegało również Grodno. Wszystko zatem układało się pomyślnie.

## **Raport o przeniesienie do Grodna**

*27 maja 1987, Władywostok.* Napisałem raport o przeniesienie do Grodna. Za takim rozwiązaniem przemawiał jeszcze fakt, że będę mógł więcej zajmować się kwestią języka polskiego w moich rodzinnych stronach.

Dowódca przyjął raport, lecz nie nadał mu biegu. Uważał, że wszyscy oficerowie powinni myśleć tylko o karierze. A ja ostatecznie pojąłem, że moje szczęście nie jest związane z karierą wojskową. Kolegom z oddziału łączności powiedziałem, że mam zamiar wyjechać do Grodna. Wyśmiali mnie i nie uwierzyli. Tym większe było ich zaskoczenie, kiedy dowiedzieli się, że złożyłem raport.

## List od Aleksego Karpiuka

*Czerwiec 1987, Władywostok.* Otrzymałem list od białoruskiego pisarza Aleksego Karpiuka. To pierwsza reakcja na mój list, który pokazano mu po kryjomu w redakcji „Prawdy Grodzieńskiej”. Białoruski pisarz ma takie same poglądy jak ja! A moi krajanie – Polacy, czy ich ta prawda nie interesuje? Nie wykluczam, że w redakcji pracują też Polacy. Odpowiedzi z redakcji jeszcze nie otrzymałem.

## Nad morze

*Czerwiec 1987, Władywostok.* Całą rodziną jedziemy odpocząć nad morze. Towarzyszy nam major Żora Muchaniow, kolega ze sztabu Wojsk Ochrony Pogranicza na Oceanie Spokojnym. Żora to wspaniały człowiek i oficer. Razem z nim i jego żoną Żenią czujemy się bardzo dobrze.

Po drodze Żora opowiada mi o artykule w „Litieraturnoj Gaziecie” poświęconym Plenum Związku Pisarzy RFSRR i problemom języka ojczystego. Jego poglądy na tę sprawę są zbieżne z moimi. Jeszcze nie wie, jak mocno nurtuje mnie ten problem.

## Zaskoczenie

*Czerwiec 1987, Władywostok.* Zupełnie niespodziewanie Naczelne Dowództwo Wojsk Ochrony Pogranicza zaprosiło mnie na staż w charakterze wykładowcy do Goliczyńskiej Wyższej Szkoły Wojsk Ochrony Pogranicza. Mam mieszane uczucia. Wiem na pewno, że chcę się przenieść tylko do Grodna. Można odmówić, ale sądzę, że tę delegację należy wykorzystać, aby przyspieszyć powrót do Grodna.

## Na staż do Moskwy

*Czerwiec 1987, Golicyno, obwód moskiewski.* Przyjęto mnie bardzo dobrze, szczególnie serdeczny był pułkownik Piotr Prochorow, szef Katedry Łączności. Okazało się, że mój staż nie ma żadnego związku z raportem o przeniesienie, po prostu szczęśliwy zbieg okoliczności. Pułkownik Prochorow okazał tyle zainteresowania, że jest mi nawet wstyd, że dotychczas nie powiedziałem mu o swojej decyzji powrotu do Grodna. Namawia mnie do pracy w Katedrze, ja natomiast wiem, że jest to niemożliwe i powinienem mu o tym powiedzieć.

Myśl o polskich szkołach i języku polskim nie opuszcza mnie i tutaj.

Z rozmowy z pułkownikiem Prochorowem dowiedziałem się, że jeszcze w 1982 r., po ukończeniu przeze mnie Akademii, starał się o przyjęcie mnie do

jego Katedry. Odpowiedziano mu wtedy: „Czy nie starcza Rosjan, że ciągniesz Polaka?” Wyjaśniło się, że moja żona wiedziała o tym, lecz cały czas ten fakt ukrywała, aby mnie nie zranić. Pierestrojka nabiera sił, skoro udało się mnie wyciągnąć do Golicyna.

## **Decyzja zapadła**

*5 lipca 1987, Moskwa.* Dowództwo Naczelne Wojsk Ochrony Pogranicza. Rozmawiałem w dziale kadr o przeniesieniu mnie do Grodna. Długo się sprzeciwiano, w końcu skierowano mnie na rozmowę do pułkownika Piotra Pieriełygina, szefa łączności Wojsk Ochrony Pogranicza ZSRR. Moje argumenty przekonały go w końcu, przede wszystkim zaświadczenie o stanie zdrowia Genia. Pod koniec rozmowy Pieriełygin powiedział, że w Grodnie zostanę krótko, niedługo ma zwolnić się miejsce w Kijowie. Uważał, że Grodno jest dla mnie swoistym upokorzeniem, degradacją, więc starał się jakoś mnie uspokoić co do mojej przyszłości.

## **W delegacji**

*Lipiec 1987, miasto Nachodka.* Po powrocie z Moskwy zameldowałem szefowi mojego oddziału oraz szefowi oddziału kadr, że odbyłem rozmowy w związku z moim przeniesieniem do Grodna. Poinformowałem, że mam pełne zrozumienie ze strony Moskwy, więc mój raport ma być natychmiast tam przekazany. Wkrótce wysłano mnie w delegację do Nachodki, gdzie pewnego razu poproszono mnie do telefonu rządowego. Dzwonił Fiodor Korniejew, chciał upewnić się ostatecznie co do mojej decyzji wyjazdu do Grodna. Proponował Kijów i prosił, żebym przemyślał swoją decyzję. Od razu potwierdziłem, że wybieram Grodno.

## **Nareszcie**

*30 lipca 1987, Władywostok.* Z redakcji „Prawdy Grodzieńskiej” nadal nie było odpowiedzi. Raport o przeniesieniu mnie do Grodna wysłano do Moskwy. Nagle 10 sierpnia 1987 otrzymałem telegram od Dowództwa Naczelnego Wojsk Ochrony Pogranicza. Nareszcie. Zapadła decyzja o moim przeniesieniu do Grodna. Byłem szczęśliwy. Rodzina także.

## **Ostatnia prośba i jestem u siebie**

*14 sierpnia 1987, Władywostok.* Dzisiaj w nocy lecimy do Grodna. Wieczorem żegnaliśmy się. Poprosiłem Żorę, żeby przysłał mi odpowiedź z „Prawdy Grodzieńskiej”, jeśli ona nadejdzie.

17–19 sierpnia 1987, Grodno. Nasz powrót do Grodna na stałe wywołał u wszystkich wielkie zdziwienie i radość. Rodzice nawet nie marzyli, że to może się stać tak szybko. Przez lata dzieliło nas prawie 10 tysięcy kilometrów.

W nowym miejscu pracy – oddziale pogranicznym w Grodnie, powitano mnie życzliwie. Tu już od kilku miesięcy nie było naczelnika oddziału łączności, ponieważ mój poprzednik odszedł na emeryturę. Zapoznałem się ze wszystkimi, którzy mieli służyć pod moim dowództwem. Wśród moich podwładnych był kapitan Siergiej Guriewicz, z którym kończyliśmy razem szkołę oficerską.

Miejscowy system łączności sprawiał wrażenie przygnębiające, tak jak gdyby czas zatrzymał się tutaj na początku lat pięćdziesiątych. Zresztą nie ma w tym nic dziwnego. Zawsze główny wysiłek i najlepszy sprzęt był kierowany na granice ZSRR z krajami kapitalistycznymi, a w drugiej połowie lat sześćdziesiątych – na granicę z Chinami.

Wiem, co mam zrobić dla udoskonalenia systemu łączności i doprowadzenia go do odpowiedniego poziomu. Mam nadzieję, że będą temu sprzyjać moje kontakty służbowe i prywatne w Kijowie, Moskwie, a miejscowe, w Grodnie, znajomość z Wincentym Grigorowiczem – szefem cywilnego obwodowego zarządu łączności, którego żona jest moją matką chrzestną. 18 sierpnia, aby wyjaśnić mi wszystkie sprawy, przyjechał z Kijowa mój szef pułkownik Korniejew, z którym pojechaliliśmy na granicę. Wieczorem 19 sierpnia zaprosiłem Korniejewa na kolację do rodziców. Mieszkamy na razie u nich, ale pułkownik Korniejew zrobił już dużo, aby pomóc mi w załatwianiu sprawy z mieszkaniem. Znamy się od 1972 roku, kilka razy był moim gościem w Daurii na Zabajkału. Przez te wszystkie dni namawiał mnie, abym się przeniósł do Kijowa. Planuje przejście na emeryturę i właśnie mnie widzi na swoim miejscu. Dla kogoś, kto służy na Dalekim Wschodzie taka propozycja byłaby szczytem marzeń, mnie zaś to nie odpowiadało.

### **List z Władywostoku**

30 sierpnia 1987, Grodno. Otrzymałem od Żory list oraz mój artykuł odeślany z powrotem przez „Prawdę Grodzieńską” z takim oto załącznikiem:

*14 sierpnia 1987 r.*

*Szanowny Tadeuszu Feliksowiczu!*

*Redakcja nie może zamieścić Pańskiego listu z następujących względów. Obywatele narodowości polskiej ani razu nie zwracali się do odpowiednich władz z prośbą o wprowadzenie języka polskiego do szkół ogólnokształcących w obwodzie, a tym bardziej o otwarciu*

szkół polskich. W obwodzie istnieją szerokie możliwości do pobierania nauki języka polskiego przez wszystkich chętnych. Działają kółka i kursy języka polskiego. Język polski jest jednym z przedmiotów nauczania na Wydziale Filologii Uniwersytetu w Grodnie.

Prowadzone są intensywne prace w dziedzinie badań i popularyzacji białorusko-polskich więzi rewolucyjnych. Tego rodzaju materiały często są publikowane na łamach „Prawdy Grodzieńskiej”.

Z każdym rokiem szerzą się i zacieśniają stosunki przyjacielskie pomiędzy naszym obwodem a województwem białostockim. We współpracy uczestniczy ponad 40 zespołów. Często odbywają się spotkania przedstawicieli załóg pracowniczych i organizacji społecznych obu stron, zacieśniają się i rozszerzają więzi gospodarcze i kulturalne. Ludzie pracy Grodzieńszczyzny hołdują pamięć wybitnych działaczy polskiego ruchu rewolucyjnego, nauki i kultury. Ich imiona noszą ulice i zabytki, kolchozy i amatorskie zespoły twórcze, utworzono muzea i miejsca pamięci. Tylko w Grodnie 16 ulic nosi imiona polskich rewolucjonistów i działaczy społecznych: Dąbrowskiego, Bogusławskiego, Grottgera, Zana, Kościuszki, Lelewela, Moniuszki, Reymonta, Słowackiego, Wróblewskiego i innych.

Bogaty jest polski repertuar zespołów amatorskich, zaś polska muzyka klasyczna oraz melodie ludowe wchodzą do programów nauczania dziecięcych szkół muzycznych i uczelni.

Tak więc zgodnie z życzeniem, mieszkańcy narodowości polskiej mogą opanować język polski i poznać kulturę narodu polskiego.

Redaktor A[leksander] Bogusz

Odpowiedź zatem utrzymana w duchu epoki najgłębszego zastoju ustroju. Najbardziej jednak przykre jest to, że redaktor naczelny A. Bogusz ma rację, pisząc, że problem właściwie nie istnieje. Polacy z Grodna nigdy nie zwracali się do odpowiednich organów w sprawie otwarcia polskich szkół, nigdy nawet nie poruszono sprawy nauczania języka polskiego. Jest to straszna prawda! My, Polacy, jesteśmy skazani na wynarodowienie. Trzeba szukać sprzymierzeńców, aby odwrócić ten proces.

### **Zgodnie z tradycją**

1 września 1987. W ZSRR jest taka tradycja, że na rozpoczęcie roku szkolnego zapraszani są ludzie, którzy coś w życiu osiągnęli. Zaproszono też mnie do szkoły, którą kiedyś ukończyłem, do klasy starszego syna Feliksa. Grono nauczycielskie reprezentowały Anna Kondratowicz, kierownik działu nauczania

i Walentyna Rybincewa. Opowiedziałem uczniom o sytuacji politycznej w kraju. Mówiłem prawdę o wszystkim, co się ostatnio wydarzyło. Dużo uwagi poświęciłem sprawie nauki języka ojczystego. W klasie są prawie sami Polacy, ale języka polskiego nikt ich nie uczy, nie ma takiej możliwości. Zauważyłem też, że moje słowa o języku ojczystym nie dotarły, niestety, do serc dzieci. Po tym spotkaniu wyszedłem z przekonaniem, że nigdy więcej nie zostanę zaproszony do szkoły.

## Aleksy Karpiuk

5 września 1987 r. Zdecydowałem się dzisiaj skorzystać z propozycji Aleksego Karpiuka. Zadzwoiłem do niego, aby się umówić na spotkanie w jego gabinecie w domku Elizy Orzeszkowej. Kiedy wszedłem do niego w mundurze podpułkownika wojsk ochrony pogranicza i przedstawiłem się, był mocno zdziwiony. Kilka minut później rozmawialiśmy już o sprawach, które zostały naświetlone przez niego w liście do Gorbaczowa. Oto treść tego listu:

*Sekretarz Generalny KC KPZR  
tow. Michaił Gorbaczow*

*Upłynęło kilka dni od czasu, kiedy z wizytą oficjalną w Grodnie gościli poseł PRL W. Natorff i konsul polski w Mińsku M. Obiedziński, kiedy na Kremlu przebywał W. Jaruzelski, a ciągle nie daje mi spokoju nieprzyjemna myśl. Dłużej nie mogę milczeć i chcę podzielić się z Panem moimi wątpliwościami.*

*To, że do 1939 r. mieszkałem w burżuazyjnej Polsce (na terenie byłej Białorusi Zachodniej), że uczyłem się w tamtejszych szkołach, znałem jej kulturę i historię, że w obozie koncentracyjnym Stutthof razem z Polakami cierpiełem niewolę faszystowską, a następnie wspólnie walczyliśmy z Niemcami (za organizację oddziału partyzanckiego na terytorium Polski otrzymałem najwyższe odznaczenie – Złoty Krzyż Orderu „Virtuti Militari”), nie pozostało bez śladu. Życie tak mnie ukształtowało, że Polacy nie mają przede mną tajemnic, że często nasze serca biją wspólnym rytmem. Kiedy przyjeżdżam do Polski, znajduję się w kręgu serdecznych przyjaciół, kiedy się spotykamy, nie prowadzimy oczywiście salonowych rozmów. Wtedy między nami, jak między sprawdzonymi przez życiowe trudności przyjaciółmi, rozmawia się bez tajemnic o nurtujących nas problemach. Mówimy sobie wszystko, co nam leży na sercu.*

*Tak więc o tej bolączce Polaków, która ma dla nas znaczenie państwowe, nasłuchałem się tyle, że dalej milczeć nie mam prawa.*

*Chcę ją przedstawić, aby można było podjąć odpowiednie działania. Na terenie obwodu grodzieńskiego zgodnie z oficjalnymi statystykami mieszka 26,7% Polaków (ponad 300 tys.), a na Białorusi – ponad 400 tys. Podczas gdy we wschodnich województwach Polski w chwili obecnej na potrzeby 180 tys. Białorusinów stworzono szkoły narodowościowe, a na Uniwersytecie Warszawskim istnieje białorutenistyka, w Olsztynie – białoruskojęzyczne wydawnictwa, w Białymstoku – tygodnik „Niwa”, działają białoruskie zespoły folklorystyczne, nasi białoruscy Polacy nic nie mają. Bezpośrednio po wojnie w obwodzie grodzieńskim istniały polskie szkoły, teraz nawet napisy pod ekspozycjami w muzeum Elizy Orzeszkowej (jej domek z niewielką ekspozycją znajduje się w centrum Grodna) są tylko rosyjskie i białoruskie, na zamieszczenie polskich nie wyrażono zgody.*

*Do dzisiaj na Białorusi sprawy Polaków są tematem tabu. Tymczasem w Litewskiej SRR, gdzie mieszka znacznie mniej Polaków, są polskie szkoły, katedry uczelniane, na estradach występują polskie chóry i zespoły taneczne. Oczywiście litewski aktyw radziecki i partyjny musi „starać się” o znacznie więcej, lecz władza radziecka wcale nie cierpi z tego powodu, gdyż, jak mówił Lenin, internacjonalizm wcale nie oznacza nacjonalizmu.*

*Przed wojną w naszym Mińsku były nie tylko polskie placówki oświatowe, biblioteki, lecz nawet teatr. Przychodzi na myśl pewien nieprzyjemny fakt. W ciągu ostatnich dziesięciu lat do Mińska przyjechał już czwarty z kolei konsul generalny Polski, ale zarówno pierwszy z nich, – Dwerniak, drugi – Woźniak, jak i trzeci – Raczkowski, starali się bez żadnego, niestety, efektu zorganizować przy pomocy Ministerstwa Kultury BSRR pokaz opery „Halka”, której autor Moniuszko pochodzi przecież spod Mińska. Swoje największe dzieło osnuł na motywach folkloru białoruskiego, dlatego jest nam tak bliskie i zrozumiałe.*

*To że władze nie zauważają znacznej liczby Polaków na Białorusi, uparczywie nie chcą uwzględniać ich problemów narodowościowych, jest w naszych czasach niewybaczalne. Stanowi to przedmiot gorących dyskusji podczas każdego prywatnego spotkania z przedstawicielami PRL – pisarzami, uczonymi, działaczami partyjnymi. Argumentów broniących taki stan rzeczy jest coraz mniej (przecież nie można wiecznie powoływać się na powojenne trudności). Jeśli Wojciech Jaruzelski milczy podczas spotkań z Panem, to chce po prostu zachować się taktownie, w głębi serca jednak, tak samo jak niedawno goszczący w Grodnie poseł i konsul PRL, pamięta o tym.*

*A więc po co te niedomówienia pomiędzy przyjaciółmi?*

*Ile będzie kosztowało nasze wielkie mocarstwo zorganizowanie w białoruskich miejscowościach zamieszkałych przez Polaków kilku polskich szkół na wzór szkół dla Białorusinów w PRL, powołanie na Uniwersytecie w Grodnie odpowiedniej katedry, a przy jednym z pałaców kultury zespołu polskiego? Natychmiast zostałyby zlikwidowane niepotrzebne napięcia w tej tak przecież ważnej dziedzinie, a Jaruzelskiemu łatwiej byłoby się bronić przed atakami opozycji.*

*Z takim przesłaniem nie zwracam się do naszego kierownictwa tylko dlatego, że jesteśmy mimo wszystko prowincją, a efekty Przebudowy, która rozwija się w naszym kraju, są odczuwalne tutaj jeszcze słabo. Przynajmniej w sferze duchowej. Mam takie wrażenie, że wśród niektórych naszych wpływowych przywódców dominuje wciąż zasada – trzymać, nie puszczać, nie pozwalać, podejrzewać i niczego nie zmieniać. Jaskrawym przykładem jest list wybitnych pisarzy i działaczy kultury BSRR wystosowany do Pana pod koniec ubiegłego roku, w którym opisano stan języka białoruskiego w Republice. Tę bolącą sprawę nasze kierownictwo starało się załatwić, niczego w istocie nie zmieniając. Lecz naród białoruski jest uparty, istnieją poza tym jakieś wyższe prawa rządzące ludźmi, z których wynika, że tego ukryć nie można. Wcześniej czy później problem wypłynie znowu i mimo wszystko będzie należało go rozwiązać. Była tam jednak mowa o sprawach niemal rodzinnych, tylko naszych. Problem polski wydaje mi się, wychodzi poza ramki granic państwowych i należy przystąpić do jego rozwiązania jak najszybciej.*

*Zasłużony działacz kultury BSRR,  
laureat Nagrody Literackiej im. Iwana Mieleża,  
A. Karpiuk*

Kiedy przeczytałem list, Aleksy Karpiuk powiedział: „Synku, sam Bóg cię zesłał”. Aleksy Nikiforowicz zaprosił mnie na spacer. Bardzo chciał nam pomóc. Powiedział, że Polacy są tutaj tak zastraszeni, tak się boją, że nie udało mu się dotąd wciągnąć nikogo do pracy na rzecz wskrzeszenia polskości. To co napisał do Gorbaczowa, to było symbolem jego aktywnej postawy wojownika o prawa człowieka, o nasze prawa, o moje prawa, o prawa wszystkich Polaków na Grodzieńszczyźnie, na Białorusi.

## **Na spotkanie do redaktora Bogusza**

W redakcji „Prawdy Grodzieńskiej” spotkałem się z redaktorem naczelnym Aleksandrem Boguszem. Rozmowa nie udała się. Naczelnym był przekonany,

że Polacy na Grodzieńszczyźnie żyją dobrze i niczego nie potrzebują. Mój artykuł nie może być wydrukowany, ponieważ nie jest aktualny. W ogóle nie ma żadnego problemu. Jedyne, co wtedy dobitnie zrozumiałem, to to, że samotnie nic nie zrobię, należy szukać ludzi, którym ta sprawa nie jest obojętna. W państwie totalitarnym, w którym nie można dobić się tego, co gwarantuje konstytucja, nie da się w pojedynkę walczyć. Nie uda się samotnie rozwiązać ani problemu języka polskiego, ani doprowadzić do otwarcia szkół polskich. Należy obudzić ze snu wszystkich, którzy jeszcze śpią i nie wierzą w pierestrojkę.

Ze spotkania z Boguszem wyszedłem bardzo przygnębiony, jakby ktoś napluł mi w duszę. Miałem na sobie mundur starszego oficera sowieckiego, miałem też dobre wykształcenie i byłem przygotowany do tej rozmowy, a jednak moje argumenty „odbijały się” od mojego rozmówcy jak piłka od ściany betonu. Czułem, że potraktował mnie jak człowieka drugiej kategorii. Ta nieudana rozmowa wywołała we mnie także wściekłą złość i zmobilizowała jeszcze bardziej do walki o moje prawa narodowe.

### **Nadzieja w Józefie Łuczniku**

*30 października 1987, Grodno.* Cały czas miałem wypełniony obowiązками służbowymi, szukałem także ludzi, z którymi można by było zacząć pracę. Liczyłem na moją sąsiadkę – nauczycielkę. Długo zwlekała, aż wreszcie odmówiła. Poleciała jednak Józefa Łucznika, dyrektora szkoły we wsi Sonicze, nauczyciela, który zawsze i wszędzie mówił po polsku.

Tyle już razy przekonywałem się, że Polacy na Białorusi są wynarodowieni, że nie liczyłem już na ludzi gotowych pójść za mną. Najbardziej przykre i bolesne było to, że nawet ludzie mi najbliżsi moje pomysły odbierali jako szalone. System represji, strachu, kłamstw zrobił swoje i ciągle, niestety, działa. Jednak nie zamierzałem rezygnować z moich celów.

### **Z wizytą u Józefa Łucznika**

*10 listopada 1987, wieś Łosośna.* Wreszcie nadeszła odpowiednia chwila. Zabieram swoje listy do „Prawdy Grodzieńskiej” i do białoruskiego pisarza Niła Gilewicza i idę do Józefa Łucznika. Spotykamy się u niego w domu. Moje pierwsze wrażenie – znalazłem nareszcie człowieka, który dołączy do mnie i Aleksiego Karpiuka.

### **Karpiuk pisze do Gorbaczowa**

*Grudzień 1987, Grodno.* Aleksy Karpiuk napisał jeszcze jeden list do Michaiła Gorbaczowa w sprawie dyskryminacji Polaków na Białorusi.

*Michaił Gorbaczow  
Sekretarz Generalny KC KPZR*

*29. 04. 1987 r. wysłałem do Pana list, w którym przedstawiłem sytuację dotyczącą nauczania języka narodowego mieszkańców Grodzieńszczyzny. Nie spodziewałem się, że ten złożony problem zostanie rozwiązany szybko. Niepokoi mnie jednak inna rzecz.*

*Niedawno zastępca kierownika Oddziału Komitetu Partyjnego obwodu grodzieńskiego tow. D. Aleszkiewicz w rozmowie telefonicznej udzielił mi odpowiedzi na ten list. Otóż okazuje się, że problem przedstawiony Sekretarzowi Generalnemu został zbadany szczegółowo. Nie istnieje on, gdyż nasi Polacy nigdy nie zwracali się do nas w sprawie nauczania dzieci w ich języku ojczystym.*

*Odpowiedź tow. Aleszkiewicza nasunęła mi dwa skojarzenia:*

*1. „Admirał Nachimow” zatonął nie tylko z powodu niedbalstwa dwu kapitanów. Poszedł na dno także dlatego, że był całkowicie przestarzały, że jego przegrody zgniły, sprzęt nawigacyjny był zużyty, radiolokatory stare, a sprzętu ratowniczego przez dłuższy czas nikt nie ruszył. Marynarze mówili, że nie był to okręt, tylko pływająca trumna. Lecz kiedy w Odessie był sąd nad kapitanem Markowem i kapitanem Tkaczenką i szczegółowo analizowano Rejestr Morski ZSRR, urzędnicy rejestracji usprawiedliwiali się: „My nie mamy z tym nic wspólnego, załoga okrętu nie składała żadnych zażaleń”.*

*2. Przed wojną w Polsce opowiadano taka anegdotę. Niedbała służąca zabierając się do kąpania pańskich dzieci sprawdzała temperaturę kąpeli w taki sposób: jeśli dziecko wrzeszczało, oznaczało to, że woda jest za gorąca, więc dziewczyna dolewała do wanny chłodniejszej.*

*Wierzę oczywiście tow. Aleszkiewiczowi, iż ze strony Polaków nie ma próśb w sprawie nauczania ich dzieci języka narodowego. Ale czy ktoś tych Polaków o to pytał? Ciągłe odczuwany jest niesamowity strach tych czasów, kiedy za taką myśl wypowiedzianą na głos, osądzano, wysyłano, kaleczono ludziom losy. Dlaczego nie poinformować Polaków o istnieniu takiej możliwości w radiu, w prasie?*